



Barbara Hannay
Trzeci pocałunek



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Mężczyzna stojący kilka metrów dalej wydał się Fionie tak samo przestraszony i zagubiony jak ona. Zbyt zszokowany, odrętwiały z bólu, by głośno okazywać rozpacz. Stał nieruchomo na środku izby przyjęć, nie zdając sobie sprawy, że w tym miejscu, gdzie bez przerwy coś się dzieje, wszyscy muszą go omijać.

Miał na sobie płaszcz nieprzemakalny, mokry od ulewy, która szalała na dworze. Twarz ogorzała, jak wszyscy ludzie ze wsi, jednak z powodu szoku opalenizna na policzkach wydawała się bledsza. Oczy wpadnięte, pełne niedowierzania. Uderzająco wysoki i mocno zbudowany, na pewno bardzo silny.

Ale teraz - bezradny. Przygarbiony, jakby ktoś wysał z niego całe powietrze.

Do piersi przyciskał zabawkę. Małego misia, pocętkowanego kroplami deszczu.

Spojrzenie Fiony przesunęło się w dół. Brzegi nogawek dżinsów i buty do konnej jazdy ochlapane błotem. Gdzie był ten mężczyzna, kiedy zadzwonili do niego ze szpitala? Prawdopodobnie w zagrodzie dla bydła, zapewne natychmiast porzucił swoją robotę. Tak jak ona. Kiedy zadzwoniła policja, wyszła z posiedzenia od razu.

Wiadomość, jaką otrzymał ten człowiek, na pewno była tak samo niespodziewana i przerażająca jak to, co usłyszała ona...

- Panie Drummond?

Do mężczyzny w nieprzemakalnym płaszczu podeszła jedna z pielęgniarek. Nie odpowiedział.

- Panie Drummond! - powtórzyła trochę głośniej i lekko dotknęła jego łokcia. Wtedy drgnął. Odwrócił ku niej stężałą twarz, pielęgniarka powiedziała coś przyciszonym głosem. Poszła przodem, on za nią. Wyglądali dziwnie. Niska, przysadzista kobieta, za nią wysoki, postawny mężczyzna z misiem w objęciach. Szedł postępnie, jak grzeczne dziecko. Albo jak zdalnie sterowany robot.

Wyszli. Fiona została sama, ze swoim własnym koszmarem. Podciągnęła rękaw żakietu i spojrzała na zegarek. Koszmar trwał już wiele godzin. Od chwili, gdy przekazano jej wiadomość, że na mało uczęszczanej drodze w głębi Australii, w Queenslandzie doszło do wypadku.

- Bardzo nam przykro, ale jedną z ofiar wypadku jest James Angus McLaren z Gundawarry - powiedział sierżant.

- Pani jest jego najbliższą krewną, prawda?

Jamie, jej brat. Jedyne. Oprócz niego nie miała nikogo.

Poinformowano ją, że został przewieziony śmigłowcem do szpitala w Townsville. Jego stan jest krytyczny.

Rex Hartley, starszy wspólnik Fiony, natychmiast stanął na wysokości zadania.

- Leć samolotem firmy. Musisz dotrzeć tam jak najszybciej. Kiedy dotarła na miejsce, Jamiego zawieziono już na salę operacyjną.

Operacja się zaczęła. Fiona, półprzytomna z rozpaczy, rozpoczęła niekończącą się wędrówkę po szpitalnych korytarzach. Przerazona, jednocześnie jednak nie dopuszczała do siebie myśli, że coś pójdzie źle.

Jamie da sobie radę, on zawsze jak kot spada na cztery łapy. Kiedy był chłopcem, nieustannie miał jakieś niebezpieczne przygody. Spadł z dachu garażu, z roweru, z wysokiej plumerii. Podczas gry w piłkę nożną złamał sobie obojczyk, innym razem skręcił nogę. Ale z każdej opresji wychodził obronną ręką.

Na litość boską! Przecież on, jako dorosły człowiek, latał Boeingiem 747 po całym świecie!

- Przepraszam, czy pani Fiona McLaren?

Odwrociła się i tuż za sobą zobaczyła młodą kobietę o zmęczonej twarzy, w białym kitlu, ze zwisającym z szyi stetoskopem.

Lekarka.

Serce Fiony przyspieszyło. Ta kobieta zaraz powie, w jakim stanie jest Jamie...

Lekarka przedstawiła się, jej nazwisko jednak nie dotarło do Fiony. Dotarło to, co lekarka powiedziała potem.

- Bardzo mi przykro, panno McLaren. Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy. Niestety, obrażenia, jakie odniósł pani brat, były zbyt rozległe.

-Nie...

Cichy szept, ale w głowie Fiony głośny, przeraźliwy krzyk.

Nie! Nie! Nie!

On nie umarł. To niemożliwe. Jej umysł nie był w stanie

tego zaakceptować. Wpatrywała się z napięciem w bladą, piegowatą twarz lekarki, czekając na słowa przeprosin. Lekarka przyzna się do pomyłki. A potem... Potem Fiona się obudzi. Bo to tylko straszny sen. Długi, okrutny koszmar. ...

- Panno McLaren, brat nie jechał sam. W samochodzie była też kobieta, Tessa Drummond. Czy pani ją znała?

- Kto? Jak? Nie... nie znałam.

Jamie mieszkał w Gundawarze dopiero dwa miesiące, nie zdążył opowiedzieć siostrze o swoich nowych znajomych.

- Niestety, jej też nie udało się uratować.

Fiona czuła, że słabnie. Jamie nie żyje. Nie żyje kobieta, która razem z nim jechała samochodem. Być może Jamie odpowiedzialny jest za jej śmierć.

- Niech pani usiądzie.

Lekarka, wzięwszy ją mocno pod ramię, podprowadziła do krzesła przy dystrybutorze wody. Pomogła usiąść i podała jej papierowy kubek z zimną wodą.

- Mam jedną dobrą wiadomość. Dziewczynka wyszła z tego obronną ręką.

- Dziewczynka?! - Fiona spojrzała na nią pustym wzrokiem. - Jaka dziewczynka?

Lekarka zmarszczyła czoło i przez moment wpatrywała się w Fionę spod przymrużonych powiek.

- Mała dziewczynka, która siedziała z tyłu - wyjaśniła. - Chwała Bogu, była przypięta pasami.

- Nic nie wiem o tej dziewczynce ani o kobiecie. Ta kobieta to na pewno jakaś znajoma Jamiego.

Lekarka sposepniała jeszcze bardziej.

- Przepraszam. Dziecko ma grupę krwi AB, taką samą jak pani brat. Pomyślałam sobie więc...

Urwała w pół zdania i nagle spojrzała w bok, na środek sali.

Jeszcze przed kilkoma minutami stał tam przybity nieszczęściem mężczyzna. Do piersi tulił misia.

Ojciec tej dziewczynki?

- Jamie nie... - Zawahała się. Nie, nie mogła się zmusić do użycia czasu przeszłego. - Jamie nie ma dzieci.

I nigdy już nie będzie ojcem.

Smutna prawda odebrała jej resztkę opanowania. Skuliła się, zakryła twarz rękoma. Z piersi wydobył się rozpaczliwy szloch.

Byrne Drummond przechylił się ponad metalową poręczą szpitalnego łóżka.

- Cześć, Scamp! - Mimo bolesnej grudy w gardle udało mu się jakoś wydobyć z siebie głos. - Przyniosłem ci Dunkuma.

Ostrożnie wsunął zabawkę pod kołdrę, tuż obok Scamp. Ale dziewczynka nie poruszyła się. Leżała nieruchomo, z zamkniętymi oczami.

Byrne szybko zamrugał powiekami. Scamp, jego Scamp. Dzielna, rozbrykana Scamp, taka bezbronna wśród sterylnej szpitalnej rzeczywistości. I taka czyściutka. Pucowałowała buzia, zwykle czymś umorusana, teraz aż lśniła. Brązowe włosy na poduszce gładkie, proste jak druciki. Jak pielęgniarkom udało się to zrobić? Tessie Scamp zawsze uciekała już w połowie szczotkowania...

Dotknął zgrubiałymi od pracy palcami różowego, pucó-

łowatego policzka i poczuł wielką ulgę. Policzek ciepły, skóra bardzo miękka. Delikatnie przyłożył palec do dziecięcej, kruchej klatki piersiowej, tam gdzie biło serce.

Czyli to prawda. Jego córeczka żyje.

Lekarze powiedzieli mu, że dziecko ma lekkie wstrząśnienie mózgu. Poza tym żadnych obrażeń, ale on wolał sprawdzić. Po tym, jak zobaczył Tessę...

Och, Boże.

Tessa.

Z ust Byrne'a wydobył się chrapliwy jęk. Przed oczyma pojawił się przerażający obraz jego żony. Takiej, jaką zobaczył, zanim przyszedł do Scamp.

Najpierw ból nie do zniesienia. Przerazenie.

Przerazająca pustka.

Zachwiał się. Musiał złapać się za poręcz. Ścisnął mocno zimny metal i patrzył przez łzy na słodką buzię śpiącego dziecka.

Biedna Scamp. Nie ma już matki.

Po rozmowie z policją, gdzieś koło trzeciej Fiona poszła do szpitalnego barku. Nie była głodna, ale ponieważ kompletnie nie miała pojęcia, co z sobą począć, poszła tam. Zamówiła kawę i kanapkę.

Zapanuj nad sobą, powtarzała w myślach. Postaraj się. Zajmij swój umysł czymś przyziemnym, praktycznym, bo inaczej zwariujesz.

Rozległ się dzwonek komórki ulokowanej w bocznej kieszonce w torebce. Dzwoniła asystentka, Samantha, po raz kolejny, żeby sprawdzić, jak Fiona się trzyma.

- Jakoś daję sobie radę - powiedziała Fiona, starając się bardzo, by jej głos zabrzmiał normalnie.

Przekazała Sam, czego dowiedziała się od policji. Jamie podwoził dwie osoby z sąsiedniej farmy. Matkę i córkę. Ich samochód się zepsuł, zaproponował więc, że odwiezie je do domu. Jechali wąską, mało uczęszczaną drogą, jak to w głębi Australii. Kiedy pokonywał zakręt, z naprzeciwka nadjechała wielka ciężarówka z naczepą przewożąca bydło. Zajęła prawie całą szerokość drogi.

Potem spytała:

- Co słysząc w firmie?

- Młyn, jak zwykle. Rex prosił o przekazanie, że masz zostać tam tak długo, ile trzeba. Spokojnie pozatłatwiać wszystkie sprawy. Samolot firmy jest do twojej dyspozycji.

- Dziękuję. Coś jeszcze?

- No cóż... Ludzie z Southern Developments cały rano siedzą mi na karku. Chcą gwarancji, że to ty osobiście zajmiesz się ich zleceniem.

Fiona westchnęła.

- Postaraj się im wytłumaczyć, że Rex i ja zawsze pracujemy razem. Jesteśmy partnerami.

Sam rozłączyła się. Fiona schowała komórkę. Co teraz?

Rusz głową, kobieto. Bo inaczej koniec z tobą.

Jamie...

Po raz kolejny zaczęła przetwarzać sobie w głowie informacje uzyskane od policji. Wraz z komentarzem sierżanta. Jamie musiał jechać za szybko albo po prostu nie uważał. No cóż... Prawdopodobnie kierowca ciężarówki z bydłem zaklinał się na wszystkie świętości, że było wystarczająco

dużo miejsca dla obu pojazdów. A Jamie nie może się już bronić.

Fiona nie wyobrażała sobie, żeby Jamie, były pilot, wioząc pasażerów, pozwolił sobie na chwilę nieuwagi. Może jednak coś odciągnęło jego uwagę? Albo ktoś? Ta kobieta? Dziecko? Wiedziała, że próba znalezienia odpowiedzi na to pytanie jest bezsensowna. Nawet drobiazgowe śledztwo nie wykaże, co naprawdę wydarzyło się tamtego dnia.

Znów pomyślała o mężczyźnie z misiem. Tak, to na pewno ojciec tej dziewczynki. Byrne Drummond. Stracił żonę, jego córka matka.

Fiona oparła łokcie na stole i mocno przycisnęła palce do oczu, by powstrzymać łzy. Pamiętała, jak to było, kiedy umarł ojciec. Matka nie umiała sobie poradzić, to Fiona matkowała młodszemu bratu, zawsze czuła się za niego odpowiedzialna.

Teraz też. W uszach ciągle dźwięczały słowa policjanta. Prawdopodobnie to Jamie jest winny kolizji... Zabił nie tylko siebie...

W małym barku nagle zrobiło się okropnie duszno. Po prostu nie było czym oddychać. Wstała od stolika, zapłaciła i wyszła na korytarz. Wolnym krokiem zaczęła przemierzać szpitalny hol, obojętnym wzrokiem spoglądając na wystawy różnych sklepików i punktów usługowych. Kiosk, cukiernia, kwiaciarnia, fryzjer...

Kwiaciarnia.

Cofnęła się i zajrzała przez szybę do środka. Pod tylną ścianą zobaczyła półkę z maskotkami.

Decyzję podjęła od razu. I od razu poczuła się trochę lepiej.

- Z Riley wszystko w porządku, nawet zaczyna się trochę nudzić. Będzie zachwycona pani wizytą.

Siostra oddziałowa wprowadziła Fionę do ładnego pokoju ozdobionego freskiem, przedstawiającym cyrkowe zwierzęta. Riley siedziała na łóżku. Jedną ręką przytuliła do siebie misia, w drugiej trzymała grubą kredkę i kolorowała obrazek przedstawiający klauna.

Kiedy Fiona weszła do pokoju, dziecko poderwało głowę i wlepiło w nieznaną panią wielkie, idealnie okrągłe oczy. Brązowe. A Fiona w pierwszej chwili przede wszystkim była zaskoczona. Nie mogła bowiem oprzeć się wrażeniu, że tę uroczą, puciołową buzię już kiedyś widziała. Natychmiast jednak wytłumaczyła sobie, że to na pewno tylko złudzenie.

Poza tym trzeba wreszcie się odezwać, bo dziecko patrzy na nią wyczekująco.

- Cześć, Riley - zaczęła trochę niepewnie.

- Cześć. Kim pani jest?

- Jestem Fiona. Po prostu Fiona. Jak się czujesz, kochanie?

- Trochę zmęczona. - Na poparcie tych słów dziewczynka ziewnęła szeroko. - Czy tatuś zaraz tu przyjdzie?

- Nie wiem, gdzie jest twój tatuś. Może właśnie jedzie do ciebie?

Wstrzymała oddech, modląc się w duchu, żeby dziecko nie zapytało o matkę. Prawie już przekonana, że wizyta tutaj to wcale nie był dobry pomysł. Bardzo kiepski.

- Czy tatuś zabierze mnie dziś do domu?

- Nie wiem, kochanie. Myślę, że o to należałoby zapytać pielęgniarkę. - Podsunęła sobie krzesło do łóżka, usiadła

i otworzyła plastikową torbę. - Proszę, to dla ciebie - powiedziała, podając dziewczynce kosmatą maskotkę w zielono-brązowe paski. - Pomyślałam sobie, że będzie dotrzymał towarzystwa twojemu misiowi.

Zabawka nie była ładna. Kosmaty potworek, który Fionę nie wiadomo dlaczego chwycił za serce.

Riley - co za ulga! - potworek się spodobał. Uśmiechnęła się i pulchnym paluszkiem dziobnęła go prosto w nos.

- Jaki śmieszny! A co to jest?

- Podejrzewam, że dinozaur.

- Jak się nazywa?

- Nie ma jeszcze imienia. Jak nazywa się twój miś?

- Dunkum.

- Duncan?

- Nie. Dun-kum!

- Aha. Dunkum. Bardzo ładnie. Sama wybrałaś to imię?

Dziewczynka skwapliwie pokiwała główką.

- No proszę. Jaka mądra z ciebie dziewczynka.

Oczy dziecka rozbłyły z zadowolenia. Uśmiechnęła się szeroko. Wzięła dinozaura i przycisnęła jego pyszczek do misia.

- Oni się całują. Na powitanie - wyjaśniła. - Dunkum, przywitaj się ładnie z Athengarem!

Spojrzała wyczekująco na Fionę, która uświadomiła sobie, że dziecko chce, by włączyła się do zabawy.

- Cześć, Athengar!

Riley uśmiechnęła się z wyraźną aprobatą.

- Athengar jest głodny - oznajmiła.

- Ojej, a co on teraz zje?

- Ciebie! - pisnęła dziewczynka. Zachichotała i uderzyła Fionę zabawką. Fiona zaczęła jęczeć rozpaczliwie.

W tym momencie do pokoju ktoś wszedł.

Byrne Drummond.

Fiona siedziała, musiała więc spojrzeć w górę. Wydał jej się jeszcze wyższy, jeszcze bardziej postawny. Twarz ściągnięta, bez uśmiechu.

Zły. Oczywiście, miał do tego pełne prawo. Stracił żonę, był w rozpacz. A sprawcą tego nieszczęścia jest jej brat.

Na szczęście, Fiona w pracy często miała do czynienia z rozgniewanymi facetami, co teraz okazało się bardzo pomocne. Wstała powoli i spojrzała w gniewne szare oczy.

- Co pani tu robi?! - spytał chrapliwym głosem.

- Chciałam odwiedzić Riley - wyjaśniła. Po czym, głosem może już odrobinę mniej pewnym, dodała: - Jestem Fiona McLaren.

- Wiem, kim pani jest. Pielęgniarka mi powiedziała.

Wcale nie próbował się przedstawić, więc zrobiła to za niego.

- Pan jest ojcem Riley.

Skinął głową. Nie odezwał się. Jasnoszare spojrzenie przekazywało wyraźnie, że nikt i nic w tym pokoju nie powinno jej obchodzić.

Wśród pełnej napięcia ciszy rozległ się słodki głosik dziecka:

- Cześć, tato!

Twarz Byrnea natychmiast złagodniała. Uśmiechnął się do dziecka. Bardzo smutno, z wielkim wysiłkiem.

- Zobacz, co dostałam! - Dziewczynka podniosła wysoko

dinozaura, potrząsając nim bezlitośnie. - To jest Athengar.
Ta pani mi go dała!

- To?! - Byrne posłał Fionie mroczne spojrzenie. - Wygląda jak skrzyżowanie jaszczurki z wombatem.

- Nieprawda! - zaprotestowała urażonym głosem Riley. - To dinozaur. Athengar. Nowy przyjaciel Dunkuma.

Ojciec absolutnie nie wyglądał na zachwyconego.

Fiona patrzyła na nich. Na uroczą brązowooką dziewczynkę i bardzo przystojnego, postawnego mężczyznę o kamiennej twarzy. Jest ich dwoje, a jeszcze wczoraj, kiedy żyła Tessa Drummond, tworzyli trzyosobową szczęśliwą rodzinę.

Wypadek zmienił wszystko.

- Pójdę już...

Byrne skinął nieznacznie głową.

- Myślę, że tak będzie najlepiej.

Fiona zdjęła z oparcia krzesła żakiet, wzięła plastikową torbę, w której przyniosła zabawkę. Zmusiła się do uśmiechu.

- Do widzenia, Riley!

- Do widzenia - powiedziała dziewczynka, tuląc do siebie dinozaura.

Fiona skupiła teraz całą swoją uwagę na ojcu dziecka. Spojrzała mu w prosto oczy. Z nadzieją, że jej spojrzenie jest dostatecznie wymowne i świadczy o dobrych intencjach.

- Do widzenia, panie Drummond. Proszę przyjąć ode mnie wyrazy szczerego współczucia. Bardzo mi przykro... - Na szczęście, w ostatniej chwili ugryzła się w język. Czy Riley już wiedziała o śmierci matki? - ...z powodu wypadku.

Grdyka Byrnea poruszyła się, co sugerowało, że nawet gdyby chciał, niczego nie byłby w stanie teraz powiedzieć.

Fiona zaczerpnęła powietrza. Niestety, nie pomogło. Jej własna rana po stracie Jamiego była jeszcze zbyt świeża. Nie zdołała oprzeć się gwałtownemu wzruszeniu.

Do oczu napłynęły łzy.

Byrne zmarszczył brwi, jego spojrzenie pozostało bardzo twarde.

- Niech pani pożegna się z Athengarem! - zawołała Riley. Ale Fiona nie była w stanie nic powiedzieć. Wiedziała już, że ta wizyta była wielkim błędem.

Zebrała swoje rzeczy i nie oglądając się za siebie, wyszła z pokoju.

- Panno McLaren!

Byrne odzyskał głos w chwili, gdy Fiona była już za drzwiami. Ale usłyszała go. Widział przez matową szybę, jak zatrzymała się w pół kroku. Na moment zastygła, potem odwróciła się. I stanęła w drzwiach.

Przybysz z innego świata.

Typowa babka z miasta. W obcisłej beżowej spódnicy, białej gniecionej bluzce, na szyi perełki, tak samo w uszach. Beżowe pantofle na wysokich obcasach i jasne pończochy. Żakiet z jedwabną lamówką nonszalancko przerzucony przez ramię.

Elegancka kobieta, z klasą. Opanowana. Takie sprawiało wrażenie, dopóki nie spojrzało się jej w oczy. Pełne smutku.

Kiedy jednak napotkała jego spojrzenie, uniosła głowę nieco wyżej. Jak zwierzę wietrzące zagrożenie. Lekko przy-mrużyła oczy, teraz był w nich tylko chłód. Jednak lekko

uniesiona brew i rozchylone wargi świadczyły, że jest ciekawa, co on ma jej do powiedzenia.

Co? Przez jedną paskudną chwilę Byrne za nic nie mógł sobie przypomnieć, po co w ogóle ją zawołał. Jego umysł gorączkowo przedzierał się przez gąszcz chaotycznych myśli.

Wypadek. Tessa. Scamp. Boże...

Rudowłosa kobieta to wróg. Spokrewniona z tym draniem, który.

Tak. Już sobie przypomniiał. Zawołał ją, bo chciał poruszyć z nią bardzo... praktyczny temat.

- Co pani zamierza zrobić z ziemią?

- Z ziemią? Chodzi panu o farmę hodowlaną mojego brata? White Cliffs?

- Tak.

- Jeszcze nie wiem. Nie miałam czasu się nad tym zastanowić. Dlaczego pan pyta?

- White Cliffs graniczy z moją ziemią. Jest bardzo zaniedbane. Przede wszystkim nie ma pasów przeciwpożarowych. Ogrodzenia w wielu miejscach są w złym stanie. Pomyślałem sobie, że powinna pani o tym wiedzieć. Farma potrzebuje dobrego zarządcy.

- Proszę się nie martwić, panie Drummond - wycedziła z chłodnym uśmiechem. - Jeśli nie sprzedam White Cliffs, na pewno znajdę dobrego zarządcę.

- Miejmy nadzieję - odparował podniesionym głosem. - Lepiej niech się pani przedtem upewni, czy to ktoś, kto naprawdę zna się na hodowli bydła. Nie tak jak pani brat.

- Nie podobało się panu, jak mój brat - mój zmarły brat - zarządzał White Cliffs?

- My tutaj oczekujemy od sąsiadów solidnej pracy.

- A ja oczekuję, że nikt nie będzie mnie pouczał.

Niepotrzebnie pan się martwi. Znam się całkiem nieźle na wyszukiwaniu odpowiednich ludzi do realizacji konkretnych zadań.

Byrne chrząknął. Bardzo znacząco.

Spojrzał na Scamp. Położyła się. Zwinęła w kłębek i wsadziła paluszek do buzi. Oczy zamknięte. Lekarze uprzedzali, że dziecko przez dzień, dwa będzie ospałe.

- Nie wierzy mi pan, panie Drummond?

Szmaragdowe oczy Fiony McLaren błyszcząły wyzwaniem.

Ale Byrne nie był w nastroju do walki. Zbyt przybity, zbyt wykończony. Nie miał nawet sił, by ją nienawidzić.

Wzruszył lekko ramionami.

- Czas pokaże.

Przez dłuższą chwilę stała, mierząc go wzrokiem. Potem odwróciła się na pięcie i wyszła.

I dobrze. Miał nadzieję, że nigdy więcej jej nie zobaczy.

ROZDZIAŁ DRUGI

Spotkanie z Byrneem Drummondem przekonało Fionę, że próby wyrażenia współczucia komuś wyjątkowo aspołecznemu są skazane na niepowodzenie. Powinna dać sobie spokój, skupić na czymś innym, najlepiej bardzo praktycznym. Na przykład na sprawach biznesowych Jamiego.

Jamie zainwestował zarobione pieniądze w ziemię. W White Cliffs. Większość dokumentów była właśnie tam, na jego farmie. Przeglądanie ich przed powrotem do Sydney mogło okazać się pomocne.

Miała zadanie do wykonania. Natychmiast poczuła się trochę lepiej. Nieprzyjemna rozmowa z Byrneem Drummondem wytrąciła ją z równowagi, dlatego powinna natychmiast czymś się zająć.

Zaraz, przecież miała do dyspozycji firmowy samolot. Na co ona jeszcze czeka?

Sięgnęła po komórkę.

- Hans, możesz mnie zabrać do Gundawarry?

Aż do zmierzchu siedziała za biurkiem, próbując wprowadzić jakiś ład w chaosie rachunków Jamiego. Kiedy w całym domu zrobiło się mroczno, wstała, żeby zapalić światło. Za-

częła się też zastanawiać nad wyprawą do kuchni. Chętnie napiłaby się herbaty, może też znajdzie coś do jedzenia.

Od długiego ślęczenia nad teczkami cała zeszytywniała. Trochę gimnastyki powinno pomóc. Wyciągnęła ręce wysoko ponad głowę. Opuszczając je, niechcący potrąciła łokciem jakiś różowy folder na jednej z półek. Spadł na podłogę. Na stary, wystrzępiony dywan wysypały się fotografie.

Pochyliła się, żeby je podnieść. Były tylko trzy. Na samym wierzchu stare czarno-białe zdjęcie roześmianej dziewczynki w staromodnym kostiumie kąpielowym.

Dziewczynki ładząco podobnej do Riley Drummond. Te same proste, brązowe włosy, puciołowate policzki i duże brązowe oczy. Taki sam wykrój ust i to spojrzenie, pełne powagi.

Serce Fiony nagle mocniej zabiło. Teraz uświadomiła sobie, dlaczego mała Riley wydała jej się dziwnie znajoma. Dziecko na starym czarno-białym zdjęciu to matka Fiony. I matka Jamiego. Zdjęcie było zresztą podpisane, charakter pisma bez wątplenia matki.

Ja (Eileen) na plaży Bondi w dniu moich trzecich urodzin.

Matka przed śmiercią bardzo sprawiedliwie podzieliła rodzinne pamiątki. Zdjęcia włożyła do dwóch albumów, jeden dla Fiony, drugi dla Jamiego. Ale Jamie ze swojego albumu usunął te trzy zdjęcia. Dlaczego?

Fiona, czując, że jest o krok od paniki, spojrzała na drugą fotografię. Grupka młodych ludzi, wśród nich Jamie obejmujący ramieniem bardzo ładną, młodą blondynkę. Zdjęcie zostało zrobione co najmniej pięć lat temu, może nawet jeszcze dawniej.

Jamie na tym zdjęciu roześmiany, beztroski...

Żywy.

Znów ogarnęła ją rozpacz. Osunęła się na podłogę, skulona, szlochając rozpaczliwie.

Och, Jamie, Jamie, Jamie...

Płakała, a przed oczami przesuwały się obrazy z przeszłości. Jakby ktoś puszczał w kółko tę samą taśmę filmową. Jamie jako rozbrykany chłopczyk. Jako nastolatek, bardzo przystojny i bardzo beztroski. Jamie - młody, uwielbiający przygody mężczyzna. Uroczy, nie mógł opędzić się od dziewczyn...

Jutro Fiona zabiera Jamiego z powrotem do Sydney. Żeby go pochować.

Och, Boże! Dlaczego?! Dlaczego?! Ona tego nie przeżyje...

Była już prawie noc, kiedy po otarciu łez powtórzyła sobie, że powinna skoncentrować się na sprawach biznesowych.

Kiedy jednak chowała zdjęcia, ciekawość wzięła górę. Odwróciła drugie zdjęcie i przeczytała imiona. Dziewczyna, którą Jamie obejmował ramieniem, miała na imię Tessa.

Tessa?

Szok.

Żona Byrne'a Drummonda miała przecież na imię Tessa.

Boże wielki! Co to wszystko znaczy? Zdjęcie ich matki, zdjęcie, na którym jest Tessa Drummond...

Przypadek?

Bała się spojrzeć na trzecie zdjęcie. Czowała jednak, że powinna to zrobić. Po długiej chwili wahania wzięła je do ręki. Spojrzała, potem, jeszcze nie dowierzając własnym oczom, przeczytała napis na odwrocie.

Serce omal nie wyskoczyło jej z piersi.

Było to zdjęcie Riley Drummond. Lustrzane odbicie matki Fiony i Jamiego, kiedy miała trzy lata, dokładnie tyle samo, co teraz Riley. Zdjęcie Riley, naturalnie, było kolorowe. Dziewczynka miała na sobie szorty i T-shirt, w objęciach trzymała ukochanego Dunkuma.

Obie dziewczynki praktycznie różnił tylko strój. I ten miś.

Zdjęcie było podpisane ręką Jamiego.

Riley Drummond.

Istniało tylko jedno sensowne wytłumaczenie. Łudzące podobieństwo jest dziwnym, niewytłumaczalnym zbiegiem okoliczności. Jamie, kiedy zobaczył córeczkę swoich nowych sąsiadów, był tym zdumiony. Dlatego wyszukał zdjęcie matki, żeby porównać.

Dlaczego jednak wyszukał w albumie zdjęcie, na którym jest razem z kobietą o imieniu Tessa?

Nagle Fiona przypomniała sobie, co tego ranka powiedziała jej lekarka w szpitalu. Wspomniała o grupach krwi. Identyfikacyjnych u Riley i Jamiego.

Wsunęła zdjęcia z powrotem do folderu i chwiejnym krokiem podeszła do najbliższego okna. Łyk świeżego powietrza. To teraz jest niezbędne.

Stare drewniane okno w pierwszej chwili nie zamierzało się poddać. W końcu jednak udało się je otworzyć. Za oknem był tylko busz i ciepłe, parne tropikalne powietrze. Chór cykad i bzykających komarów był tak głośny, że drażnił uszy. Księżyc już w drodze. Wysoko nad koronami eukaliptusów, malował ich pnie srebrzystą poświatą. Gdzieś dalej, w ciemnościach, zaryczała żałośnie krowa.

Prawdziwa wiejska głusza. Dlaczego Jamie tak polubił to miejsce? Ona stanowczo wolała swoje wypieszczone mieszkanie w centrum Sydney. Aluminiowe okna o wielkich szybach, z moskitierami. Nieustający szum ruchu ulicznego, widok na jasne światła neonów i wieżowce.

Zamknęła okno i wolnym krokiem ruszyła w głąb domu. Wykończona i znów pełna obaw.

Nieszczęśliwa. Straciła brata. Odszedł na zawsze, pozostawiając po sobie niepokojącą tajemnicę.

Po co ona oglądała te zdjęcia, po co? W końcu to nie jej sprawa.

Czy Byrne Drummond je widział?

ROZDZIAŁ TRZECI

Byrne - w czarnym, wizytowym garniturze, śnieżnobiałej wykrochmalonej koszuli i eleganckiej czarnej muszce - zatrzymał się w połowie drogi na jasno oświetlonych schodach prowadzących do miejscowego klubu.

- Ej, bracie, do góry! Nie ma już odwrotu!

Jego przyjaciele byli niewzruszeni. Trzy lata minęły, najwyższy czas wrócić między ludzi.

- Nie jesteś królową Wiktoria, Byrne. Nie będziesz do końca życia chodził w żałobie.

I jednomyślnie orzekli, że bal na powitanie wiosny będzie świetną okazją, żeby Byrne w końcu gdzieś wyszedł. Bal maskowy, wszyscy będą przebrani. Byrne przynajmniej do połowy wieczoru może pozostać incognito.

Pomysł wydawał się sensowny i nieszkodliwy. Wtedy. To znaczy, kiedy Byrne razem z przyjaciółmi popijał drinka na swojej werandzie. Bo teraz, gdy słyszał dźwięki muzyki, pobrzękiwanie kieliszków i salwy śmiechu, wcale nie był tego pewien.

Po śmierci żony przez trzy lata wiódł życie samotnika. Zamknął się w Coolaroo, razem z córką i Jacksonami, miłym, spokojnym małżeństwem. Ellen prowadziła dom, Ted,

prawdziwa złota rączka, był człowiekiem do wszystkiego. Poza tym Jacksonowie pilnowali Riley, kiedy Byrne'owi zdarzyło się jednak dokąś wyjść.

W chwili słabości dał się namówić na najważniejszą imprezę towarzyską w Gundawarze. Każdy chciał tu być, spędzić szaloną noc przy głośniej muzyce i mocnych drinkach.

Podczas gdy Byrne...

Byrne nie wiedział, po jaką cholere tu przyszedł.

- Chyba nie pękasz?

Jane Layton, żona jego najlepszego kumpla, pociągnęła go mocno za łokieć.

- Coś mi się zdaje, że tak - wyznał.

- Stary, przecież to jak z jazdą na rowerze! - odezwał się jej mąż, Mitch. - Tego się nie zapomina. Jak tylko przekroczysz te drzwi, odrodzisz się.

Jane oszczędziła sobie dalszych argumentów. Chwyciła Byrnea mocno za łokieć i doholowała do szczytu schodów.

- Mitch! - rzuciła przez ramię do męża. - Gdzie jest kostium dla Byrnea?

Mitch postawił przed nią olbrzymią torbę. Jane poszperała w niej i wyjęła maskę. Jedno oko, namalowane na masce, zasłonięte było czarną opaską. Drugie, duże i niebieskie, spoglądało groźnie spod krzaczastej brwi.

- Będziesz fantastycznym piratem, Byrne. Groźny, a jednocześnie porywający - powiedziała i z zachęcającym uśmiechem wręczyła mu maskę.

Ale Byrne nie dał się złapać na haczyk.

- Przepraszam was, chyba nie jestem jeszcze gotowy na takie występy.

Miał zamiar odejść. Oczywiście, nie udało się. Najpierw rozległ się chóralny protest, potem Mitch złapał go za jedną rękę, Jane za drugą. Ani się obejrzał, kiedy znalazł się już za drzwiami, w kretyńskim przebraniu.

Wszyscy byli przebrani, co wcale jednak nie oznaczało, że skutecznie. Byrne całe życie spędził w tych stronach, wśród tych właśnie ludzi, dlatego rozpoznawał ich bez trudu.

Koło niego przemknęła tanecznym krokiem jakaś para. Oboje w białych perukach i skrzących się weneckich maseczkach. Byrne natychmiast ich rozpoznał. Ropersowie.

- Życzy sobie pan czegoś do picia?

Tacę z drinkami, którą podsunęło mu pod nos, trzymał kelner w zielonej lateksowej masce Marsjanina.

Byrne wziął piwo, stanął z boku i przyglądał się zbiorowi-sku klaunów, stworzeń z dżungli, wrózek i wampirów.

Nagle usłyszał za sobą głos. Damski, słodki jak miód.

- Zdaje się, że wszyscy świetnie się bawią.

Odwrócił się. Dziwne, ale tej kobiety nie mógł rozpoznać. Na głowie miała perukę z różowych loków. Do tego bardzo ładna maska w kształcie skrzydeł motyla i czarna suknia o prostym kroju.

- Chyba tak - odpowiedział.

- Ty wolisz obserwować?

-Niekoniecznie. Po prostu... zbieram siły. Przepraszam, czy my się znamy?

Uśmiechnęła się.

- Kto wie? Jestem tu od niedawna.

- Nie mogę cię rozpoznać.

- I tak powinno być! W końcu to bal maskowy, prawda?

- Faktycznie. Nie sądzisz jednak, że to trochę niebezpieczne?

- Niebezpieczne?! Prze... przepraszam - wykrztusiła, zanosząc się od śmiechu. - Ale nigdy bym się nie spodziewała, że dla nieustraszonego pirata wiejska potańcówka może być niebezpieczna!

- Zapomniałem na śmierć, że jestem piratem.

Jasne. Ma na sobie kretyńską maskę, która uciska go w nos i nad oczami. Głowę owinęli mu czerwonym gałganem, a z ucha zwisa mu złote kółko.

Spojrzał dyskretnie na lewą dłoń kobiety, w której trzymała smukły kieliszek, do połowy napełniony białym winem.

Na palcach nie było żadnych pierścionków. Ani obrączki.

- Przyszłaś tu sama?

- Tak. A ty?

- Ja też. W takim razie proponuję, żebyśmy dokonali wzajemnej prezentacji.

Skrzywił się, niezadowolony ze swojej wypowiedzi. Gdzie polot? Co się stało z dawnym złotoustym Byrne'em?

- Dlaczego mielibyśmy to robić? - zaprotestowała. - Przecież cała zabawa polega przede wszystkim na tajemnicy!

A ty... - Głowa w różowych lokach przechyliła się trochę na bok. - A ty chyba chcesz się dziś zabawić, prawda?

- No więc...

- Och, nie marudź! Skoro tu jesteś, musisz się zabawić! Bo inaczej nie miałoby to żadnego sensu!

- Faktycznie.

Wypił duży łyk piwa, świadomy, że powinien poprosić ją

do tańca. Jeszcze chwila i znudzona odpłynie, szukając face-
ta bardziej skorego do zabawy.

Spytał, zanim pomyślał:

- Zatańczysz?

- Och, z przyjemnością! Uwielbiam tańczyć.

Odwróciła się, żeby odstawić kieliszek. Wtedy Byrne po
raz pierwszy zobaczył tył jej sukni.

Jakby strzelił w niego piorun.

Z przodu suknia wyglądała prawie dostojnie, ale z tyłu...
z tyłu praktycznie jej nie było. Tylko dwa cieniutkie ramiącz-
ka z czarnego jedwabiu. Zjeżdżały w dół po gładkiej kremow-
wej skórze nagich plecach i łączyły się w zgrabną kokardkę.
Tam, gdzie plecy kończą już swą nazwę.

Tak dużo skóry i tak mało sukni.

Kiedy będą tańczyć, jedną rękę będzie musiał położyć
na... No nie...

Odstawił pustą szklankę i odchrząknął.

- Ruszamy na parkiet.

Uśmiechnęła się i złożyła dłoń w jego dłoni. W tym mo-
mencie kapela przestała grać. Tancerze znieruchomieli. Byrne
puścił rękę nieznajomej

- Muszę się jakoś do ciebie zwracać - odezwała się nagle
jego partnerka. - Może Pete? Pirat Pete?

Uśmiechnął się.

- Czemu nie? Niech będzie Pete. A ty? Jesteś motylem,
tak?

- Tak. Znasz nazwy motyli?

- Oczywiście! Może Ulisses?

- Przecież to facet!

Kapela znów zaczęła grać. Coś bardzo głośnego i szybkiego.

- Może będziesz nazywał mnie Trzepotka?

- Dobrze. Niech będzie Trzepotka.

Był zadowolony, że przy tak szybkiej melodii wszyscy tańczą osobno. Już po chwili, ku swemu zaskoczeniu, złapał rytm. Kilka całkiem zręcznych podrygów i nagle poczuł się rozgrzany, zrelaksowany. Muzyka była świetna. Głośna, dopingująca, w rezultacie rozochocił się do tego stopnia, że spróbował przypomnieć sobie kilka ruchów, które wyćwiczył wiele lat temu. Trzepotka zaczęła go naśladować. W rezultacie, kiedy po pierwszej piosence nastąpiła druga, dalej tańczyli razem. Byrne złapał kobietę za rękę, podniósł ich złęczone ręce, Trzepotka obróciła się kilka razy, za każdym razem serwując Byrne'owi rozkoszny widok swoich nagich pleców.

Kapela zmieniła tempo. Zagrała teraz wolny kawałek, znów zaczęto tańczyć parami. Trzepotka wpłynęła w ramiona pirata Petea.

Na początku Byrne był zdenerwowany. Poczł leciutki zapach perfum, na ramieniu dotyk drobnej dłoni. Nie potrafił zdobyć się na to, by drugą rękę położyć na jej nagim ramieniu. Spoczęła gdzieś w okolicy biodra.

Kiedy zaczęli tańczyć, zdenerwowanie minęło. Tańczyło mu się wspaniale. Żadnego potykania się, żadnych chwiejnych kroków. Znów pełny relaks. W pewnej chwili zaczął zastanawiać się w duchu, czy czułby się tak samo swobodnie, gdyby widział jej twarz. Może Jane i Mitch mieli rację. W tych maskach było jednak coś wyzwalającego.

- Hej, Pete! - Trzepotka zbliżyła usta do jego ucha. - Nie-
źle tańczysz.

- Nie tańczyłem od dawna.

- Wcale tego nie widać.

- Dziękuję. A ty jesteś świetna.

- Kocham taniec. Tańczę, żeby utrzymać się w formie.

Byrne się uśmiechnął.

- To widać.

Tańczyli. Piękna, powolna melodia. Taka nastrojowa sy-
tuacja pobudza wyobraźnię. Dlatego nic dziwnego, że w któ-
rymś momencie Byrne dał się ponieść fantazji. Miał wizję,
szaloną. Wyprowadza Trzepotkę na dwór i całuje ją. Tak, całuje. .. Prawie czuł jej uległe, miękkie wargi na swoich ustach.
Maskę zdejmuje jej dopiero potem, po pocałunku.

Muzyka ucichła, jeden z muzyków podszedł do mikro-
fonu.

- Kapela robi sobie przerwę.

Pary z parkietu zaczęły przemieszczać się do bufetu.

- Chcesz się jeszcze czegoś napić? - spytał Byrne Trzepotkę.

- O, tak. Dzięki, Pete. Z wielką chęcią napiłabym się szam-
pana.

- Poczekaj tutaj. W bufecie jest teraz tłok.

Fiona czekała, cała spięta.

Spięta od samego początku. Od chwili, gdy zobaczyła
wchodzącego do sali Byrne'a Drummonda. Miała wrażenie,
jakby stanęła na ostrzu brzytwy. Rozpoznała go od ra-
zu, choć przedtem spotkała się z nim tylko raz. W szpitalu,
przed trzema laty. Jedna krótka rozmowa, bardzo przykra,

a wspomnienie o niej tak wyraziście. Przede wszystkim o nim. Przez długie trzy lata miała go przed oczami.

Wysoki, barczysty mężczyzna. Twarz o bardzo męskich zdecydowanych rysach. W szarych oczach ból i gniew. Na nią, na Fionę, siostrę Jamiego, sprawcy jego nieszczęścia.

Minęły trzy lata. Czy już stłumił w sobie ten gniew?

Kiedy wynajęty przez nią zarządca White Cliffs złożył rezygnację, postanowiła połączyć przyjemne z pożytecznym, czyli od dawna wyczekiwany urlop z wyjazdem do White Cliffs. Nie tylko po to, by sprawdzić, w jakim stanie znajduje się farma. Miała jeszcze jedną sprawę do załatwienia, osobistą, nadzwyczaj delikatną. Do załatwienia z Byrneem Drummondem.

- Fiono McLaren, czy to ty ukrywasz się pod maską motyla?

Fiona odwróciła się i zobaczyła purpurową suknię balową uwieńczoną maską pasiastej pszczoły. Betty Tucker, główna organizatorka balu.

- Tak, to ja - odparła, zaśmiewając się, Fiona. - Tylko nikomu o tym nie mów!

- Oczywiście. Dobrze się bawisz, kochanie?

- Cudownie!

- To świetnie. Bo widzisz ... - Betty konfidencjonalnie zniżyła głos. - Chciałam prosić cię o przystupę.

- Nie ma problemu. W czym mogę pomóc?

- W ogłoszeniu wyników naszego konkursu na najlepszą maskę. Pomyślałam sobie, że ponieważ jesteś wśród nas od niedawna, miło by było, gdybyś zrobiła to właśnie ty. Przy okazji przedstawiś się wszystkim.

Byrne z szampanem dla Fiony uparcie przedzierał się przez tłum.

- O! Widzę, że zawarłaś już znajomość ze swoim sąsiadem! - zauważyła z uśmiechem Betty, a Fiona poczuła paniczny strach. Oczywiście, że zamierzała ujawnić Byrne'owi swoją tożsamość, ale w odpowiednim momencie.

- Betty, proszę, tylko się nie wygadaj. On jeszcze nie wie, kim jestem. Powiedz mi tylko szybko, co mam robić.

- Och, kochanie, to bardzo proste...

Berty urwała na sekundę, kiedy Byrne podchodził do nich. Zachichotała nerwowo, ale stanęła na wysokości zadania.

- Otworzysz dwie koperty i ogłosisz nazwiska zwycięzców. Kobiety i mężczyzny. To wszystko - wyjaśniła szybko i obdarzywszy ich promiennym uśmiechem, znikła w tłumie.

Byrne wręczył Fionie kieliszek zmrożonego szampana. Szybko wypita łyk, żeby pomóc trochę roztrzęsionym nerwom i uśmiechnęła się.

- Pete, czuję, że to ty wygrasz.

- Jeśli mnie wybiorą, to tylko z jednego powodu. Żeby podtrzymać mnie na duchu.

- Potrzebujesz tego? - spytała, doskonale wiedząc, że przez ostatnie trzy lata Byrne praktycznie żył jak pustelnik.

- Potrzebuję - przytaknął i uśmiechnął się. - Dzisiejszego wieczoru ty masz obowiązek mnie uszczęśliwić, Trzepotko!

- Obowiązek? Mówisz jak prawdziwy męski szowinista.

- My, piraci, tacy jesteśmy. Bardzo męscy i bardzo szowinistyczni. Lepiej zacznij się do tego przyzwyczajać.

Jego oczy, widoczne w otworkach wyciętych w masce, śmiały się. Koło serca Fiony zdecydowanie zrobiło się tro-

chęciej, jednocześnie jednak poczuła się nieswojo. Czy Byrne nadal będzie w tak dobrym nastroju, kiedy się dowie, kim ona jest?

Przecież to jak igranie z ogniem... Na początku wieczoru cała ta sytuacja wydawała jej się po prostu zabawna. Niestety, z każdą minutą niewinna zabawa stawała się coraz bardziej niebezpieczna.

Dlatego absolutnie najwyższy czas zdradzić Byrne'owi, kim naprawdę jest Trzepotka. Zrobi to zaraz. Przedtem jednak łyk szampana. Dla kurażu.

Przytknęła kieliszek do ust i jednym haustem opróżniła go do połowy. Przełknęła, otworzyła usta...

Niestety w tym momencie kapela zaczęła grać wyjątkowo głośny kawałek. Byrne zrobił krok w kierunku Fiony. Podszedł bardzo blisko, nachylił się, jego usta prawie dotknęły jej ucha.

- Skończ szampana.

Wyszczyła go do dna. Byrne odebrał od niej kieliszek, odstawił i wziął ją za rękę. Sam się dziwił, skąd u niego taka determinacja. Nie zawracał sobie głowy żadnym proszeniem do tańca, nie miał też najmniejszego zamiaru tańczyć osobno. Wprowadził Trzepotkę na parkiet i od razu objął.

Tańczyli. Powoli, przytuleni do siebie. Było cudownie. Po co psuć tę magię, wyjawiając mu swoje nazwisko?

W połowie trzeciej piosenki usta Byrnea znów znalazły się przy jej uchu.

- Masz ochotę na łyk świeżego powietrza?

Oczywiście przystała z ochotą na tę propozycję. Szczerze mówiąc, zgodziłaby się teraz na wszystko.

Byrne'owi trudno było uwierzyć, że wyprowadza tę cudowną istotę prosto w mrok, rozjaśniony tylko bladym światłem księżycy. W sumie zachowywał się jak małałat, a nie facet po trzydziestce, wdowiec samotnie wychowujący córkę.

Wszystkiemu winna maska, to jasne. Zastaniała twarz Trzepotki prawie całkowicie, widać było tylko usta. Pełne, miękkie i różowe. Przyciągały jego wzrok przez cały wieczór. Nic dziwnego, że w końcu zaczął myśleć o pocałunku.

- Masz rację - powiedziała, odwracając się do niego. - Na dworze jest o wiele chłodniej. Tak rześko.

Jej usta teraz, w świetle księżycy, wydawały się bardzo jasne.

Drżały.

Wziął ją za rękę. Obie. Bardzo ostrożnie. Trzymał je tylko palcami.

- Podoba mi się ten wieczór - powiedział.

- Zaskoczony?

- Tak. Nie spodziewałem się, że będę miał tak czarujące towarzystwo. Trzepotko, nie znamy się, nie wiem, jak naprawdę się nazywasz. Ale co byś powiedziała, gdybym cię teraz pocałował?

Usłyszał cichutki dźwięk. Może stłumiony okrzyk, może śmiech. Nieważne. Liczyło się tylko jedno. Kiedy uniosła twarz, zorientował się, że ona też tego chce.

- Nigdy jeszcze nie byłam całowana przez pirata.

Różowe wargi rozchyliły się zachęcająco.

W pierwszym odruchu Byrne chciał natychmiast przycisnąć ją mocno, na szczęście opanował się i objął ją bardzo delikatnie.

Pocałunek z obcym mężczyzną przy świetle księżycy powinien być romantyczny.

Jednak objął ją trochę mocniej. Modląc się w duchu o powściągliwość, kiedy jego dolna warga zetknęła się z różowymi ustami Trzepotki.

Początek zgodnie z planem. O, tak. Leniwe pieszczoty, jego usta tylko przesuwają się powoli ponad jej wargami. W lewo i w prawo.

Niestety, z różowych ust wydobył się jęk. Cichutki, ale kiedy zaczęła lekko drżeć, nie wytrzymał. Powściągliwość poszła w ką. Objął dłońmi twarz kobiety-motyła i zaczął całować o wiele namiętniej jej miękkie usta wargami, językiem, jednocześnie napierając na nią biodrami.

Nie pozostawiając wątpliwości. Pragnął jej.

Żaden dotychczasowy pocałunek nie mógł równać się z tym obecnym, który był jak sen, a jednocześnie taki realny. Ta odurzająca słodycz chętnych ust...

Nagle Trzepotka znieruchomiała, a potem, mruknąwszy jakieś słowa przeprosin, wysunęła się z jego objęć.

- Co się dzieje? - wymamrotał. - Musisz już iść?

- Tak... - szepnęła. A potem: - Przepraszam...

W jasno oświetlonych drzwiach stała Betty i machała do nich ręką.

- Kochanie, pozwól tutaj! Zaraz zaczynamy!

Fiona zerknęła na Byrnea. Nagle poczuła strach. Boleśnie świadoma swego oszustwa.

Co teraz pomyśli Byrne, kiedy dowie się, kim ona jest?

- Pospiesz się, proszę! - ponagliła Betty. - Wszyscy już czekają!

Fiona karnie podążyła za organizatorką. Przez próg, przez zatłoczoną salę. Cała spięta.

Gorzej. Jakby stąpała po linii wysokiego napięcia.

Betty Tucker wzięła mikrofon do ręki, tłum ustawił się dookoła. Fiona, spoglądając na to morze przeróżnych masek, czuła, że zaczyna kręcić jej się w głowie. Prawie jak przy tym pocałunku...

Gdzie Byrne?

Stał w bocznych drzwiach. Jego rosta postać wypełniała je całe. Twarz miał nieprzeniknioną.

- Proszę państwa, proszę o uwagę! Nadeszła chwila, na którą wszyscy czekaliśmy z wielką niecierpliwością. Dowiemy się, kto zdaniem komitetu organizacyjnego ma dziś najciekawszy kostium! - Betty urwała na sekundę, obdarzając wszystkich olśniewającym uśmiechem i szerokim gestem wskazała na Fionę. - O ogłoszenie wyników konkursu poprosiliśmy kogoś, kto od niedawna mieszka w naszych stronach. Naszą nową sąsiadkę. Fiono, prosimy!

Fiona wysunęła się do przodu. Nigdy dotąd, kiedy stała twarzą w twarz z tłumem, nie czuła się tak niepewnie. Teraz miała wrażenie, że idzie po słynnej desce piratów, z której nie ma odwrotu. Jedyne wyjście to skok w spienione morskie fale.

- Proszę państwa! - zapięła Betty, obejmując Fionę. - Mam wielką przyjemność przedstawić państwu Fionę McLaren z Sydney, która objęła rządy w White Cliffs!

Rozległy się gromkie oklaski, kilka przenikliwych gwizdów. Fiona, z sercem podchodzącym do gardła, ostrożnie pomachała ręką.

Mężczyzna w drzwiach stał nieruchomo jak głaz.

- Fiono, kochanie! - szczebiotała Betty. - Nie wstydz się. Zdejmij perukę i maskę. Wszyscy chcą cię zobaczyć!

Fiona bezradnie spojrzała na uśmiechnięty tłum. Jednak to nie tłum odbierał jej odwagę, tylko stojący nieruchomo w drzwiach mężczyzna, który tego wieczoru jej zaufał.

Jaka szkoda, jaka wielka szkoda, że jej maska nie jest przyklejona do twarzy jakimś nadzwyczajnym klejem...

Drżącymi rękoma zdjęła perukę. Długie rude włosy opadły na ramiona. Znów brawa i kilka gwizdów.

Jeszcze maska... Nie, nie ma sensu przedłużać tej okropnej chwili. Jednym szybkim ruchem ściągnęła ją z twarzy i ułożyła usta w promienny uśmiech.

Betty wręczyła jej dwie koperty.

- Nadszedł moment, proszę państwa, kiedy wreszcie poznamy naszych zwycięzców! Fiono, prosimy!

- Oczywiście! - Fionie jakoś udawało się zachować na twarzy uśmiech. - Pani, która zdaniem jury, ma na sobie najciekawsze przebranie, to...

Szybko otworzyła pierwszą kopertę.

- Daisy Oaks!

Gdzieś w głębi sali rozległ się radosny pisk i wśród burzliwych oklasków przez salę przemknęła młoda kobieta z głową Meduzy. Do peruki przyczepione były poskręcane węże.

Kiedy tłum przycichł, Fiona spojrzała na następną kopertę.

- A teraz kolej na najlepiej przebranego mężczyznę! Zacerpnęła powietrza. Proszę, proszę, tylko nie Byrne... Drżące palce niezdarne walczyły z kopertą. W końcu udało jej się wyciągnąć karteczkę.

- Zwycięzcą okazał się... Byrne Drummond!

Odruchowo spojrziała ku drzwiom.

Och, nie! Co ona zrobiła! Jaki okropny, niewybaczalny błąd!

Był wściekły. Mówiły o tym pięści przyciśnięte do boków. I podbródek wysunięty hardo do przodu.

Idiotka. Zdemaskowała się tym spojrzeniem. Byrne już wie, że jego tożsamość od samego początku nie była dla niej tajemnicą.

Powoli ściągnął z twarzy maskę. Spojrzenie szarych oczu było bezlitosne.

Nigdy ci tego nie wybaczę, zdawał się mówić.

Cała sala biła brawo, głowy wszystkich zwróciły się w stronę drzwi, żeby posłać zwycięzcy uśmiech. Kilka osób wydało radosny okrzyk, kilka zawtórowało.

- Byrne, prosimy do nas po odbiór nagrody! - zawołała rozpromieniona Berty.

Nie poruszył się.

Wśród tłumu przebiegł szmer. Wszyscy wyczuwali nagłe napięcie, potem rozległy się okrzyki zdumienia, kiedy do ludzi zaczynało docierać, że napięcie dotyczy wyłącznie dwóch osób. Byrne'a i Fiony.

Fiona próbowała się uśmiechnąć. Bez skutku.

Przez następne pięć sekund Byrne dalej stał nieruchomo, jak posąg. Potem zaś odwrócił się i wymaszerował z sali.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Byrne, skrobiąc zawzięcie kopyto kucyka, w duchu przetrawiał wypadki minionej nocy. Najpierw sny, idiotyczne, o których po obudzeniu wolałby od razu zapomnieć. Wiadomo przecież, co było ich przyczyną. Taniec, a potem pocałunek z Fioną McLaren. Tak samo wredną jak jej brat.

- Tatusiu, ty mnie w ogóle nie słuchasz!

Poderwał głowę, napotykając pełne wyrzutu spojrzenie Riley. Dziewczynka, wystrojona w swoją ulubioną różową spódniczkę baletnicy, włożoną na niebieskie dzinsy, siedziała na ogrodzeniu boksu Browniego.

- Przepraszam, Scamp. Co mówiłaś?

- Pytałam cię o coś bardzo ważnego, tato!

Pytałam. Oczywiście. Riley Drummond była specjalistką w zadawaniu trudnych pytań. Tatusiu, czy mogłabym mieć młodszą siostrzyczkę? Tatusiu, dlaczego wiatr wieje? Tatusiu, czy mamusia w niebie nadal obchodzi swoje urodziny?

- A o co, konkretnie?

- Ile razy Księżyc jest większy od Coolaroo?

- Księżyc? Hm... Niestety, na to pytanie nie odpowiem ci od razu. Trzeba trochę popracować. Zajrzeć do encyklopedii, policzyć na kalkulatorze...

Riley wyduła wargi i westchnęła cicho. Nie protestowała jednak, tylko dalej w milczeniu obserwowała ze swojego stanowiska poczynania ojca. Riley była bardzo dobrym dzieckiem. Wspaniałym. Czasami wydawała się Byrne'owi za mądra. Chociaż nadal zasypiała z ukochanym Dunkumem i równie ukochanym Athengarem w objęciach.

W ciągu minionych trzech lat Byrne wielokrotnie próbował pozbyć się Athengara, zabawki, którą jego dziecku dała ta cała McLaren. Próbował bezskutecznie. Riley tak rozpaczła, że musiał zrezygnować. Prawdopodobnie przywiązanie dziecka do głupiej zabawki w jakiś sposób powiązane było z utratą matki. Tego samego dnia zabrakło jej kogoś, ale jednocześnie coś zyskała.

Skrobanie skończone. Byrne postawił nogę kucyka na ziemi, a w tym samym momencie w drzwiach stajni pojawiła się Ellen Jackson.

- Dzwoniła twoja nowa sąsiadka, Byrne - powiedziała. - Fiona McLaren.

Ellen starała się nie pokazywać, jak bardzo jest tym przejęta. Byrne natomiast wcale nie ukrywał swoich uczuć.

- Czego chciała? - spytał rozdrażnionym głosem.

- Nie wiem. Nie powiedziała. Obiecałam, że oddzwonisz.

- Ja? Do niej? Chyba przesadziłaś!

Przez cały następny dzień po balu Fiona nie mogła znaleźć sobie miejsca. Cierpiąca. Po prostu. Jedynym pocieszeniem był fakt, że dramatyczne opuszczenie sali przez Byrnea wszyscy tłumaczyli sobie podobnie. Biedak, nie pozbierał się jeszcze po śmierci żony. Tylko Fiona znała prawdziwą przy-

czynę jego ucieczki. Był wściekły, bo go oszukała. Bo ją pocałował.

Ona też była wściekła. Przez swoją własną głupotę po-
grzebała szansę na zdobycie jego zaufania. Właśnie teraz,
kiedy tak bardzo jej zależało na jak najlepszych stosunkach
z Byrneem Drummondem. Trzy lata odczekała, dając mu
czas na dojście do siebie po bolesnej stracie. Teraz nadeszła
pora, by zmierzył się z tajemnicą, jaką pozostawił po sobie
Jamie. Naturalnie, wcale nie zamierzała od razu, bez żadne-
go wstępu, zaskakiwać go tą rewelacją. Przeciwnie, najpierw
chciała go poznać, i dopiero po jakimś czasie, w dogodnym
momencie, poruszyć delikatną kwestię ojcostwa.

Oczywiście, że wcale się do tego nie paliła. Bo i do czego?
Jej życie byłoby o wiele łatwiejsze, gdyby potrafiła schować
głowę w piasek.

Może i tak by się stało, gdyby nie kwestia finansowa. Riley
Drummond, jeśli naprawdę jest dzieckiem Jamiego, ma pra-
wo do spadku. Nie mogła ignorować klauzuli w testamencie
Jamiego. Niestety, wczoraj wieczorem zrobiła z siebie Trze-
potkę - idiotkę. Widok Byrnea podzielał na nią tak, że stać
ją było tylko na zwykły podryw.

Przeprosić go? Może wylewne przeprosiny załagodzą sy-
tuację.

Zadzwoniła. Byrnea nie było. Więc dalej gryzła się tym
wszystkim, od bladego świtu. W końcu nadszedł moment,
kiedy doszła do wniosku, że dłużej tego nie wytrzyma.

Może spacer? Nad rzekę? Świetnie.

Było późne popołudnie, ciepłutko. Od rzeki wiał lekki
wietrzyk. Fiona szybko pokonała drogę wiodącą przez przy-

domowy padok i już była u celu, nad rzeką. Kiedy szła brzegiem, zorientowała się, że pod nią jest bardzo stroma skała z białego wapienia. Po drugiej stronie rzeki ciągnął się identyczny klif, równie stromy.

Czyli to od tych skał farma wzięła swoją nazwę.

Przystanęła w cieniu wielkich drzew, wręcz porażona urodą tego miejsca. Dwie śnieżnobiałe ściany, w dole między nimi rzeka. Jasnoniebieska, jak niebo w górze. Teraz, kiedy zbliżał się zachód słońca, na horyzoncie już lekko różowe.

Wspaniałe miejsce na piknik. Turyści byliby zachwyceni. Chwileczkę... Może właśnie dlatego Jamie kupił tę ziemię? Przedtem przecież wielokrotnie wspominał, że po odejściu z linii lotniczych chętnie zająłby się turystyką. Marzyło mu się takie miejsce, gdzie turyści z zagranicy mogliby zobaczyć prawdziwą Australię, z jej niepowtarzalną kolorystyką...

Nagle na drugim brzegu wyraźnie coś się poruszyło. Mężczyzna na koniu. Wynurzył się spośród drzew. Wjechał na szczyt klifu, zatrzymał konia i zaczął z wielką uwagą wpatrywać się w dół, w koryto rzeki.

Samotny jeździec na tle błękitnego nieba. Koń kary, czarny jak noc. Twarz jeźdźca ocieniona szerokim rondem kapelusza. Sylwetka wspaniała. Długonogi, barczysty, wyprostowany dumnie w siodle. Jednym słowem obrazek jak ze starych westernów albo reklam, jakie zapamiętała z dzieciństwa. Niezależnie jednak od złośliwych skojarzeń, była tym widokiem zafascynowana.

Widokiem Byrne'a Drummonda, dla którego zaczynała tracić głowę. Niestety on zapewne nie miał o niej najlepszego zdania.

Biorąc to wszystko pod uwagę, absolutnie nie miała ochoty na kolejną konfrontację. Nie, jeszcze nie teraz. Z ulgą patrzyła, jak Byrne kieruje konia z powrotem w stronę drzew. Niestety, nagle znieruchomieli, jeździec i jego koń. Jeździec przekręcił się w siodle. Spojrzał na drugi brzeg rzeki. Prosto na Fionę.

Przed wszystkim, oczywiście, zaczerpnęła powietrza. To dodało jej sił i umożliwiło zmuszenie się do nędznej imitacji uśmiechu. Nawet pomachała ręką. Byrne w odpowiedzi na jej machanie ruszył lekkim galopem. Podjechał do miejsca, gdzie w skalistym zboczu wykuto zejście na brzeg i nie wahając się ani sekundy, zaczął zjeżdżać w dół. Spod końskich kopyt wypryskiwały kamyki i spadały do rzeki. Fiona, z sercem podchodzącym do gardła, była prawie pewna, że Byrne ryzykuje złamanie karku. A jeżeli szczęśliwie dotrze nad rzekę, zapewne bez trudu ją sforsuje...

Ani się obejrzała, kiedy Byrne był już na dole. Na chwilę znikł jej z oczu, słyszała tylko głośne pluski, kiedy otoczaki przesuwały się pod kopytami konia. Potem sekunda ciszy, głucho uderzenie - koń wyskoczył z wody - i znów stukot kopyt o skałę.

Jeszcze chwila i wypadło wykrztusić:

- Cześć, Byrne.
- Cześć! Co tu robisz?

Mina ponura, głos opryskliwy. Jakby jeszcze wczoraj nie tańczyli razem, jakby nie połączył ich namiętny pocałunek... A niech się wypcha!

- To raczej ja powinnam o to spytać, panie Drummond! Stoimy przecież na mojej ziemi, prawda? Poza tym, jeśli pan

chce ze mną chwilę pogawędzić, musi pan zsiąść z tego wielkiego konia!

W szarych oczach zapaliły się iskerki. Rozbawiła go? Nie wiadomo, równie dobrze mógł to być gniew. W każdym razie pozostało zagadką, ponieważ spojrzenie Byrnea znów stało się nieprzeniknione, a przede wszystkim bardzo chłodne. Polecenie jednak wykonał. Przerzucił jedną nogę przez tęg i lekko zeskoczył na ziemię.

Stali tuż obok siebie. Byrne trzymał w jednym ręku wodze, a jego koń parsknął niespokojnie, pokazując wielkie zęby.

Nic dziwnego, że na wszelki wypadek cofnęła się o krok. Tylko jeden, a już usłyszała szyderczy komentarz.

- On nie gryzie.

- Dobrze wiedzieć.

Miało to być powiedziane tonem zjadliwym, ale wyszło raczej żałośnie. Byrne stał blisko, prawie jej dotykając. Mężczyzna, z którym całowała się wczoraj...

Spytał opryskliwie:

- Po co tu przyjechałaś?

- Nie słyszałaś? Straciłam zarządcę. Przechwycili go łowcy głów z Pastoral Pacific.

- Nie słyszałam. Zamierzasz tu osiąść na stałe?

- A jeśli nawet? Masz coś przeciwko temu?

Za długo ociągał się z odpowiedzią, stanowczo za długo. To oczywiste, że nie był zachwycony.

- A co ty w ogóle wiesz na temat hodowli? - spytał w końcu. - Wiesz, na przykład, ile masz sztuk bydła?

Co za impertynent!

- A co to? Egzamin?! - rzuciła Fiona bardzo szorstko. - Chcesz sprawdzić, czy nadają się na twoją sąsiadkę?

- Może! Bo tu zwykle mamy za sąsiadów ludzi, którzy znają się na hodowli bydła. Wiedzą, ile mają sztuk, na którym z pastwisk aktualnie przebywa stado, kiedy robić spęd i jak się do tego zabrać.

Gdyby nie stał koło tego wielkiego konia, przyłożyłaby mu prosto w ten jego arogancki nos. Na takich facetów natykała się bez przerwy, na każdym szczeblu swojej kariery zawodowej.

Poradzi sobie i z nim.

- A więc... Proszę posłuchać, panie Drummond. - Specjalnie mówiła bardzo powoli i wyraźnie, jakby tłumaczyła coś skończonemu debilowi. - Mam trzy tysiące czterysta dwadzieścia sześć sztuk bydła. Każda sztuka mojego bydła jest zaszczepiona, ma poza tym stały dostęp do wody i pożywienia, należy zatem przypuszczać, że całe stado jest w niezłej kondycji. Spęd zamierzam zrobić w przyszłym roku, przed Wielkanocą albo wcześniej, kiedy tylko skończy się pora deszczowa. Do spędu zatrudnię miejscowych, o odpowiednich kwalifikacjach. Mam już listę najlepszych.

Zaskoczenie w jego oczach było jak balsam na serce Fiony. W duchu złożyła sobie gorące podziękowania, że nie leniła się i dokładnie przestudiowała raport zarządcy.

A skoro Byrne dostał już po nosie, warto zmienić taktykę.

- Byrne, posłuchaj. Podczas tego okropnego wypadku oboje ponieśliśmy bolesną stratę, i ty, i ja. Każde z nas straciło ukochaną osobę. Od trzech lat żywisz do mnie urazę.

Nieuzasadnioną. Myślę, że najwyższy czas, żeby twój stosunek do mnie uległ jednak pewnej zmianie.

Przez moment Byrne wpatrywał się z wielkim natężeniem w coś po drugiej stronie rzeki. Po czym oświadczył:

- A ja i tak jestem zdania, że nie powinnaś prowadzić tej hodowli. To czyste szaleństwo.

Fiona westchnęła.

- Ponieważ jestem kobietą?

Kąciki jego ust na moment drgnęły, w uśmiechu najkrótszym z możliwych.

- Ponieważ nie masz doświadczenia.

- Hodowla bydła to biznes, prawda? A na biznesie znam się bardzo dobrze.

W tym momencie rozdzwoniła się komórka. Fiona szybko wyjęła telefon z kieszeni dzinsów i sprawdziła, kto dzwoni. Samantha. Świetnie. Wyszczrzyła zęby w uśmiechu.

- Przepraszam, sprawy biznesowe... Co słychać, Sam?

- Fiono, przepraszam, że znowu ci przeszkadzam, ale jest jedna agencja reklamowa, która koniecznie chce nas wygryźć z biznesu.

- Kto to taki?

- Shazam. Młodzi i bardzo prężni, nastawieni na bogatych klientów.

- A, oni. Słyszałam. Bez obaw. Michael się nimi zajmie.

Trzeba im przede wszystkim uświadomić, że nie pozwolimy sobie odebrać klientów. Aha, przypomnij Michaelowi, żeby nie gadał z nikim, kto kiedykolwiek pracował dla Alpha Promotions. Rozłączyła się. - Przepraszam - mruknęła, wsuwając telefon do kieszeni. - Na czym stanęliśmy?

- Na tym, jaka dobra jesteś w biznesie. Ale ja i tak uważam, że nie nadajesz się na hodowcę. Na tym polu polegiesz.

- Och, daj spokój, Byrne. Potrzebuję tylko trochę czasu. Nie jestem głupia, nauczę się hodować krowy. W końcu to nie jest jakaś wiedza tajemna. A poza tym... wyluzuj. Prawdopodobnie nie będziesz miał mnie całe życie za płotem. Zastanawiam się też nad sprzedażą White Cliffs.

Spodziewała się, że ta ostatnia informacja będzie dla niego powodem do radości. Tymczasem Byrne sprawiał wrażenie raczej zaskoczonego. Potem spuścił głowę i zaczął miętosić w rękę wodze. Chyba się nad czymś zastanawiał.

- Byrne? Cieszysz się z tego, prawda?

Poderwał głowę i uśmiechnął się. Po raz pierwszy podczas ich rozmowy zobaczyła na jego twarzy taki normalny uśmiech, kiedy koło oczu i ust robią się zmarszczki.

- Bardzo sensowna decyzja - powiedział. - Jednego chętnego już masz.

- Ty? Chcesz kupić White Cliffs?

Starła się, żeby zabrzmiało to beznamiętnie.

Byrne wzruszył lekko ramionami.

- Czemu nie? Szukam możliwości dalszego rozwoju. Możliwość jest też taka, że połowa prawdopodobnie należy już do twojej córki.

Fiona milczała przez moment, zbierając myśli. Nieoczekiwana oferta Byrnea zbiła ją z tropu. W sytuacji, kiedy wskazana jest największa czujność. Chwila nieuwagi czy zwątpienia i skończy się na tym, że Byrne zostanie właścicielem White Cliffs, a ona będzie w drodze powrotnej do Sydney. A przecież najpierw powinna ustalić, kto jest ojcem małej Riley.

- No i jak, Fiono? Zaproponuję ci dobrą cenę.

- Świetnie, ale na konkrety jeszcze za wcześnie. Na razie po prostu się do tego przymierzam. Farma nie jest w takim stanie, żeby wystawiać ją na sprzedaż.

- Chcesz zrobić remont?

Remont? Świetnie. Nareszcie jakiś punkt zaczepienia.

- Tak. Dom absolutnie wymaga remontu.

- Dom?!

Powiedział to głośno, co koniowi bardzo się nie spodobało. Parsknął i zaczął bić kopytami w ziemię. Fiona krzyknęła i spłoszyła konia jeszcze bardziej. Zaczął rzucać łbem.

- Byrne? Co mu się stało? - zawołała, gotowa uciekać.

- Troszkę się zdenerwował.

Poklepał konia po szyi, powiedział kilka słów. Koń uspokoił się, ale Fiona nie. Drżała na całym ciele.

- Boisz się zwierząt? - spytał.

- Nie! To znaczy, niektórych tak

- Tych z kopytami?

- Tych, które są dziesięć razy większe ode mnie.

Patrzyła, jak długie silne palce Byrne'a głaszczą konia. Te same palce wczoraj wieczorem dotykały jej... Nagle zrobiło jej się smutno. Poczucia się nieszczęśliwa, zagubiona.

- Dlaczego nie miałabym wyremontować domu? - spytała, pragnąc porzucić już temat relacji ze zwierzętami.

- Dla tego, kto chce zainwestować w bydło, dom jest sprawą drugorzędną.

- Ale dla jego żony może nie! Chyba że tu u was żona nie ma nic do powiedzenia!

- Ma czy nie ma, nieważne. Zamiast myśleć o domu, skup

się przede wszystkim na płotach i pasach przeciwpożarowych. Są w fatalnym stanie. Twój zarządca wcale nie był taki kompetentny, jak ci się wydaje.

- Pasy? Przeciwpożarowe? - Fiona spojrzała przelotnie na busz, zastanawiając się w duchu, gdzie mogą być te całe pasy. - Dziękuję, że zwróciłeś mi na to uwagę. Zatrudnię kogoś, kto wszystko sprawdzi.

Byrne odwrócił się do konia, sprawdził jeden z popręgów. Potem znów spojrzał na Fionę.

- Dziś rano dzwoniłaś do mnie.

- Ja? Dziś? Dzwoniłam? Nie. Ach tak... - O Boże, znów zaczyna się plątać w zeznaniach. - Nic ważnego. Nie pamiętam już nawet, po co.

Spojrzenie Byrnea mówiło wyraźnie, że jej nie wierzy. Stał dalej nieruchomo, z jedną ręką opartą na łęku, jakby miał zamiar wsiąść już na konia. Jednak nie wsiadał, tylko patrzył na nią. Czekał.

Pomyślała, że jest nieprawdopodobnie przystojny. Przy tym koniu, na tle łuny zachodzącego słońca wyglądał jak heros z greckich mitów.

Wczoraj heros ją całował. I to jak! Nagle, choć było to całkowicie irracjonalne, poczuła, że teraz ma tylko jedno pragnienie. Zapomnieć o Jamiem i tym okropnym brzemieniu, jakie dźwigała. Zapomnieć o wszystkim, rzucić się na Byrnea i przyznać do trawiącego ją pożądania. Błagać go bezwstydnie o więcej takich pocałunków...

Aż potrząsnęła głową, zszokowana własnym upadkiem. Nigdy dotąd sprawy damsko-męskie nie przyćmiewały jej zdrowego rozsądku.

Skup się, nakazała sobie w duchu. Byrne wyraźnie dawał jej szansę na wyjaśnienie tego, co wydarzyło się na wczorajszym balu.

- Ach, przypomniałam sobie. Dzwoniłam, bo chciałam przeprosić za wczorajszy wieczór. Jakoś ci to wszystko wytłumaczyć. W każdym razie nie było to oszustwo z premedytacją. Po prostu tak jakoś wyszło. Bawiłam się cudownie w twoim towarzystwie, ty też chyba byłeś zadowolony. Nie chciałam nam obojgu psuć dobrej zabawy...

Wysłuchał jej z kamienną twarzą. Ale kiedy skończyła, uśmiechnął się. Znów tak normalnie, bardzo sympatycznie.

- Przeprosiny przyjęte.

Czyli rozejm. Chwała Bogu!

Niestety, zaraz potem uśmiech zgasł. Byrne przeszył ją swoim jasnoszarym spojrzeniem. Bardzo chłodnym.

- Bo to była zabawa, jak rozumiem.

Powoli zapadał już zmierzch. Koń niecierpliwie przestępował z nogi na nogę.

Byrne spojrzął w ciemniejące niebo..

- Słońce zaraz zajdzie.

Przerzucił wodze przez łeb konia.

- Jak się miewa Riley? - spytała.

Wsadził lewą stopę w strzemię.

- Świetnie.

- Chodzi już do szkoły?

- Tak. - Odbił się od ziemi i usiadł w siodle. - W tym roku rozpoczęła naukę. Idzie jej całkiem nieźle.

- Musiała bardzo wyrosnąć.

- Ma już sześć lat. Czas tak szybko leci.

Koń tańczył pod nim. Wiedziała, że Byrne na pewno chce dojechać do domu przed nocą.

- Do widzenia, Byrne. Może jeszcze kiedyś spotkamy się przypadkiem.

- Może. Zadzwoń, gdybyś miała problemy ze znalezieniem ludzi do płotów i pasów przeciwpożarowych.

- Dziękuję.

Trącił konia piętą. Ogier z miejsca ruszył galopem.

Nawet nie powiedział do widzenia... Fiona stała nieruchomo, usiłując wmówić sobie, że jest jej to absolutnie obojętne.

Przed zjazdem na brzeg zatrzymał konia. Ogier zrobił w tył zwrot. Byrne uśmiechnął się, cudownie, trochę nieśmiało, i przytknął palec do kapelusza.

- Miłego wieczoru, Fiono.

Kilka godzin później Fiona, już w łóżku, oparła się wygodnie na wysoko ułożonych poduszkach i racząc się przed zaśnieciem gorącą czekoladą, udzieliła sobie w duchu, elegancko mówiąc, surowej reprimendy.

Byrne Drummond w ogóle nie wchodzi w grę.

Podejść do tego rozsądnie, kochana. Facet ci się podoba, fakt. A ty jemu? Przecież on chce, żebyś znikła stąd jak najprędzej. Daj sobie z nim spokój, rym bardziej że twoje reakcje stają się bardzo niebezpieczne. To nie są reakcje kogoś, kto ma ochotę na przelotny, niezobowiązujący romans, chodzi o coś o wiele poważniejszego. A zważywszy wszystkie okoliczności...

Och, nie. Byrne Drummond? Wykluczone.

Zmusiła swoje myśli, by pobiegły innym torem. Skoncentrowały się na temacie bezpiecznym, czyli remoncie domu. Udało się. Fiona puściła wodze fantazji.

A więc tak, malowanie w środku i z zewnątrz. Kolory jasne, relaksujące. Brudne wykładziny i wytarte linoleum trzeba wyrzucić na śmietnik. Należy przywrócić blask starym drewnianym posadzkom. Nowa łazienka, oczywiście, także kuchnia, wyposażona w nowoczesny sprzęt. Meble pozostaną te same. Nie ma sensu ich zmieniać, skoro dom idzie na sprzedaż. Szkoda, stylowe meble wyglądałyby w tych wnętrzach cudownie. W kuchni żadnych blatów, tylko duży sosnowy stół. Szafka drewniana, jedna, poza tym półki pełne słoiczków z przyprawami. W rogu drugi elegancki stół, krzesła i kredens, koniecznie z lustrem, w którym odbijać się będzie wazon pełen polnych kwiatów. A w pokojach stylowe łóżka, przykryte grubymi, miękkimi kołdrami.

Po raz pierwszy w życiu zabierała się do odnawiania starego domu. Była tym bardzo przejęta i zachwycona. Uwielbiała działać, a tu nie obejdzie się bez dłuższych konferencji przez telefon lub internet z architektami i budowlancami, bez pogoni za fachowcami, bez wędrówek po sklepach. Poza tym generalny remont domu to idealne wytłumaczenie, dlaczego zostaje tu jeszcze kilka miesięcy. A w ciągu tych kilku miesięcy na pewno trafi się okazja, żeby porozmawiać z Byrneem.

Z Byrneem...

Aż skrzywiła się, czując w piersi ostry, przeszywający ból. Niestety, od kilku tygodni serce dawało znać o sobie w bardzo niemiły sposób. Ten ciągły stres...

Wstała z łóżka, podeszła do otwartego okna i zrobiła bardzo głęboki wdech.

Gwiazdy na niebie zakrywały chmury. Noc była czarna, aksamitna.

Jak długo jeszcze?

Przez trzy lata milczała, chociaż ta tajemnica była jak topór wiszący nad jej głową. Dłużej jednak tego nie wytrzyma. Musi w końcu wyjawić wszystko Byrne'owi i pozbyć się stresu, bo inaczej wpędzi się w jakąś chorobę.

Ale kiedy? Czy w ogóle będzie ku temu okazja?

Dziś, kiedy spotkali się nad rzeką, Byrne przebaczył jej małe oszustwo na balu, może nawet zaczął traktować ją jako osobę godną zaufania. To dobrze. Fakt, że Byrne aprobeuje jej osobę, znaczył dla niej bardzo wiele. Chyba za bardzo.

O wiele za bardzo.

Jęknęła cicho. Powędrowała z powrotem do łóżka i wypita do końca ciepłą jeszcze czekoladę. Czy istnieje jakaś cudowna recepta, jak z tego wszystkiego wyjść obronną ręką? Chyba tak. Nie myśleć o trudnościach, tylko o tym, co dobrego może z tego wyniknąć. Czyli o spadku, który z mocy prawa należy się małej Riley. Wtedy o wiele łatwiej będzie poruszyć ten okropny temat, znieść gniew Byrnea oraz fakt, że znowu stracił do niej zaufanie i jedynym uczuciem, jakie do niej żywi, jest nienawiść.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Tatusiu, a ile lat ma babcia? Sto?

Byrne się zaśmiał.

- Mało kto dociąga do setki.

Znów się zaśmiał, wyobrażając sobie, jak by zareagowała jego matka, lat sześćdziesiąt cztery, gdyby przypadkiem usłyszała pytanie Riley.

Spojrzał w dół, na córeczkę w zielonym szkolnym mundurku, podskakującą jak wesolutki pasikonik. Była bardzo podeksytowana faktem, że tato odebrał ją ze szkoły i poszli razem do kiosku wybrać piękny urodzinowy karnet dla babci.

- Może ten? - spytała, wyjmując ze stojaka karnet, na którym przedstawiona była starsza pani wykonująca bardzo efektowną sztukę akrobatyczną. Byrne szybko wyjął Riley karnet z rąk. Otworzył. Życzenia w środku zawierały wręcz obsceniczne aluzje do seksu.

- Nie, Scamp. Ten karnet na pewno by się babci nie spodobał.

- Ale dlaczego, tatusiu?! Przecież ta pani jest bardzo podobna do babci. I jest taka wesola! Dlaczego?!

- Bo nie! - rzucił Byrne i wskazał na inny karnet. - Ten na pewno babci się spodoba.

Wyjął ze stojaka karnet z obrazkiem bardzo sympatycznym. Różyczki, koroneczki... Sprawdził, co jest w środku. Też w porządku. Sentymentalny wierszyk.

Riley wyduła wargi.

- Wcale mi się nie spodoba. Babcia nie lubi różowego.

- Co ty mówisz?! Wszystkie kobiety lubią różowy kolor.

Ty też.

- Ale babcia nie. U niej w domu wszystko jest żółte albo niebieskie!

Rzeczywiście. Byrne dopiero teraz uświadomił sobie, że córeczka ma rację. Żółte, niebieskie i mnóstwo białego.

- To może ten karnet ze stokrotkami? Jak myślisz, czy babcia...

Nagle zamilkł. Kiedy kobieta, oglądająca ekspozycję w rogu kiosku, odwróciła się i zмирzając szybkim krokiem do kasy, niechcący go potrąciła.

- Och, przepraszam! - powiedziała.

Z miłym uśmiechem, który po chwili znikł.

- Byrne?

Fiona McLaren. Włosy upięte w luźny kok, znoszone dzinsy i biały T-shirt. W tym zwyczajnym codziennym ubraniu powinna wyglądać po prostu zwyczajnie. Tymczasem było odwrotnie. Prosty strój podkreślał płomieniste bogactwo jej włosów, delikatne rysy twarzy i sprężystość ciała. W konsekwencji czego Byrne zmuszony był do nabrania większej porcji powietrza niż podczas normalnego wdechu.

- Dzień dobry, Fiono.

Sprawiała wrażenie bardzo zdenerwowanej. Zielone oczy

błyszcząco niezdrowo, palce nerwowo skubały plik czasopism, które trzymała w ręku.

- Kupiłam to jako inspirację. Rozumiesz, ten remont - powiedziała, jakby czując potrzebę usprawiedliwienia się. Przechyliła trochę czasopisma, demonstrując okładki ze zdjęciami kuchni w stylu rustykalnym i łazienek. Potem spojrzała w dół, na małą figurkę u boku rosnącego mężczyzny.

Zbladła. Wyraźnie zbladła.

- To musi być Riley!

Byrne skinął potakująco głową.

- Tak. Riley, Fiona jest naszą nową sąsiadką.

- Dzień dobry, Riley - powiedziała Fiona, uśmiechając się, jakby z wysiłkiem. Riley odwzajemniła uśmiech, speszona jednak obcą panią, szybko wsunęła rączkę w dłoń ojca.

- Jak widzisz, Riley rośnie szybciej niż trawa w porze deszczowej - powiedział Byrne. W odpowiedzi z ust Fiony wydo był się zduszony szept.

-Tak...

Dziwne, pomyślał Byrne. Fiona sprawiała wrażenie całkowicie rozstrojonej. Przyciskała te czasopisma do piersi, a jej oczy dosłownie pożerały Riley. Oczy, w których było coraz więcej smutku.

- Wybraliście się razem na zakupy? - spytała po chwili.

- Tak! Babcia ma urodziny! - wyjaśniła Riley.

- Aha... - Fiona nie odrywała oczu od dziecka. - Twoja babcia mieszka tutaj? W Gundawarze?

Riley energicznie skinęła głową.

- Zaraz za pocztą - poinformował Byrne.

Fiona uśmiechnęła się. Wyglądało to bardziej na grymas.

Jej spojrzenie pomknęło w dół, na złączone ręce mężczyzny i dziecka. Byrne był pewien, że się nie mylił. W zielonych oczach pojawiły się podejrzone srebrzyste kropelki.

Co, u diabła, dzieje się z tą kobietą? I z jakiego to powodu jego sześciolatnia córeczka, niewinne dziecko, doprowadza ją do łez? Chyba że się wzruszyła, bo przypomniawszy sobie, jak trzy lata temu widziała Riley w szpitalu, po wypadku. Kiedy podarowała jej tego Athengara...

- Tatusiu... - Zniecierpliwiona Riley pociągnęła go za rękaw. -Babcia na nas czeka!

- Tak. Już idziemy. - Wyjął ze stojaka karnet ze stokrotkami. Białe kwiatki, w żółtych środkach uśmiechnięte buzie.

- Ten może być?

Riley z radości aż podskoczyła.

- O, tak! O, tak! Będzie się babci podobał!

- A ja nie będę wam przeszkadzać - odezwała się Fiona, kierując się do kasy. - Do widzenia, Byrne. Do widzenia, Riley.

- Do widzenia - odparli jednocześnie, po czym Byrne, sam tym zaskoczony, dodał: - Jeśli chcesz, wpadnę do ciebie któregoś dnia i pokażę ci miejsca, gdzie twoje ogrodzenia wymagają naprawy. Musisz to zrobić, bo inaczej byłoby ci się rozbiegnie.

- Bardzo dziękuję. Do widzenia.

Patrzył, jak Fiona podchodzi do kasy. Fiona McLaren zdecydowanie należała do tych kobiet, które cokolwiek robią, robią to z wdziękiem. Nawet takie proste czynności jak wyjmowanie portmonetki i szukanie drobnych. Patrzył więc z przyjemnością, ignorując wewnętrzny głos, który ostrze-

gał. Popatrzeć sobie możesz, ale nie zapominaj, że ta kobieta, Fiona McLaren, oznacza tylko kłopoty.

Przez całą bezsenłą noc Fiona rzucała się na łóżku, podczas gdy jej serce i głowa zabawiały się w przeciąganie liny.

On uwielbia Riley. Ojciec i córka - zżyci z sobą, tak bardzo do siebie przywiązani. Co robić? Drażnić? Starać się dojść prawdy? Och, nie. To zbyt okrutne. Fiona, zamiast sprawiać komuś ból, powinna milczeć jak grób i wyjechać stąd jak najprędzej, pozostawiając rodzinę Drummondów w spokoju.

Serce swoje, głowa swoje. Również wysuwała niepodważalne argumenty. Przecież tu chodzi o przyszłość tego dziecka. Zabezpieczenie finansowe. Kto wie, jak życie dalej się potoczy. Jeśli Byrne ożeni się ponownie, może będzie miał synów, i to oni przejmą kiedyś Coolaroo. A Riley zostanie wyrzucona za burtę.

Kobiety w każdym wieku powinny mieć swoje pieniądze. Fiona przekonała się o tym na własnej skórze. Jej ojciec umarł, kiedy miała siedem lat. Nie zawracał sobie przedtem głowy ubezpieczeniem na życie. A matce brakowało wiary we własne siły. Nawet nie próbowała poszukać dla siebie jakiejś pracy i razem z dziećmi utrzymywała się ze skromnej renty po mężu. Dzieciństwo Fiony było bardzo zgrzebne, dlatego zarówno ona, jak i Jamie, kiedy tylko osiągnęli odpowiedni wiek, poszli do pracy. Oboje pracowali bardzo ciężko, żeby jak najszybciej osiągnąć niezależność finansową. W rezultacie Fiona w wieku lat trzydziestu była właścicielką luksusowego mieszkania w centrum Sydney, także drugiego

na obrzeżach miasta, które kupiła na wynajem oraz solidnego funduszu inwestycyjnego.

Najważniejsze - zabezpieczenie finansowe. Riley absolutnie powinna dostać należne jej pieniądze. Oczywiście, Fiona mogłaby przekazać je później, w swoim testamencie.

Fiona przez moment próbowała wyobrazić sobie końcówkę swego życia. Nieciekawą, przecież na pewno będzie dalej singielką. Dokładniej - starą panną, samotną, bezdzietną. Riley natomiast panią w średnim wieku, daj Boże, żoną i matką. Fiona zapisze jej wszystko, co zgromadzi w ciągu swego życia. Do tego, oczywiście, dojdą pieniądze ze sprzedaży White Cliffs.

Jakie to jednak będzie straszne przeżycie dla Riley! Kiedy gdzieś około pięćdziesiątki, a może nawet później, dowie się nagle, kto jest jej prawdziwym ojcem. Szok. Nie tylko dla niej, także dla całej jej rodziny.

Czyli bez sensu. Lepiej wyjawić wszystko teraz. Zażądać testów DNA i raz na zawsze ustalić, czyją córką jest mała Riley.

Tak będzie najlepiej.

Dla kogo? Bo na pewno nie dla Byrne'a!

Fiona zajęczała rozpaczliwie. Och, Jamie, Jamie, Jamie! Jakie okropne kłopoty zostawiłeś po sobie!

Prześladowała go i w dzień, i w nocy. W snach i marzeniach.

Byrne, usadowiony na najwyższym stopniu schodków werandy, wpatrywał się w busz. Z nadzieją, że jak tak sobie popatrzy, pewna osoba, która konsekwentnie burzy spokój,

zniknie z jego głowy. Więc patrzył. W rozgwieżdżone niebo. Na księżyc, już prawie w pełni, świecący blado nad koronami eukaliptusów.

Wszędzie widział twarz Fiony, o bardzo jasnej karnacji. I przede wszystkim delikatne piegi.

Uśmiechnął się. Piegi... Na balu ich nie zauważył. Fiona miała przecież maskę, poza tym makijaż. Ale wczoraj, nad rzeką, także dziś, kiedy natknął się na nią w kiosku, była nieumalowana. Teraz wiedział, że one istnieją. Żłocistobrązowe, na nosie, policzkach i brodzie. Na szyi i na dekolcie. Nawet na wargach. Malutkie, intrygujące punkciki na gładkiej miękkiej skórze. Same proszą się, żeby ich posmakować...

Głupota, ale te właśnie piegi, razem z wojowniczym błyskiem w zielonych oczach odebrały mu całkowicie ochotę do walki z Fioną McLaren. Więcej - zdaje się, że wpadł. Dziewczyna zaczyna mu się podobać. Nie była hollywoodzką pięknoscią, ale na pewno była atrakcyjna, w taki naturalny sposób. Ciągnęło go do niej, a ona... ona patrzyła na niego w taki sposób, że trudno się było pomylić. Wyraźnie wysyłała mu sygnały.

Całowała genialnie.

W rezultacie snił o niej. Dlatego teraz, o pierwszej w nocy, wyszedł na werandę, żeby pomyśleć. Czy Tessa, tam, w górze, nie ma nic przeciwko temu, żeby on zainteresował się inną kobietą? Nigdy o tym nie rozmawiali. Byli zbyt młodzi, żeby zastanawiać się nad śmiercią. Ale Byrne w głębi duszy zawsze czuł, że gdyby jego nagle zabrakło, Tessa na pewno znalazłaby sobie nowego faceta. Taka po prostu była. Zanim wyszła za niego, miała mnóstwo chłopaków. Jednym z nich był McLaren...

Byrne westchnął. Postarał się jednak tego wątku nie rozwijać. Nie wchodzić na tor udręki, po którym kursowało jedno zasadnicze pytanie. Dlaczego McLaren wprowadził się do White Cliffs? To pytanie, doprowadzające do szału, zadawał sobie setki razy.

Dość. Pogodzenie się z bolesną stratą zajęło mu wiele czasu, teraz powinien patrzeć w przyszłość. Ma przecież Riley, Coolaroo i prawdopodobnie, o ile mu się poszczęści - White Cliffs.

Od jakiegoś czasu ma również rudowłosą, piegowatą sąsiadkę, bardzo pociągającą.

Może nadeszła pora, żeby pokazać jej się z lepszej strony, jako ten naprawdę życzliwy, usłużny sąsiad?

Kiedy zbliżało się południe, a Fiona nadal jeszcze nie podjęła ostatecznej decyzji, przed dom w White Cliffs zajechał jakiś samochód. Naturalnie, natychmiast podbiegła do okna. Wyjrzała w chwili, gdy land cruiser hamował przed schodami od frontu. Z samochodu wysiadł Byrne Drummond. Stał obok swego wozu i wetknąwszy kciuki w szlufki dżinsów, rozejrzał się dookoła. Co zobaczył? Wiadomo. Odpadającą farbę ze ścian, wypaczone okna, zaniedbane krzaki róż, resztkę sił walczące o przetrwanie wśród bujnych chwastów.

Byrne Drummond. Jakby sama ściągnęła go tu swoimi myślami. Przyjechał, i to jest najodpowiedniejszy moment, żeby odbyć z nim poważną rozmowę. Może zrobić to od razu? Wyjść przed dom i wyrzucić z siebie wszystko?

Za późno. Byrne kilkoma susami pokonał już schodki i pukał do drzwi. Takie radosne, optymistyczne ra-ta-ta-ta.

Uśmiech, jakim uraczył ją na powitanie, był cudowny. Ciepłutki. Co w tej sytuacji, niestety, absolutnie nie było pożądane.

- Cześć, sąsiadko!

- Dzień dobry, Byrne.

- Odszczekuję wszystko, co mówiłem na temat remontu tego domu. Miałaś rację. Bez tego ani rusz.

- A widzisz! Nie spodziewałeś się, że jest w aż tak złym stanie?

- Nie. Przejeżdżałem tędy i pomyślałem sobie, że przy okazji zajrzę do ciebie i pogadamy o tych ogrodzeniach. Nie przeszkadzam?

- Ależ skąd! Na razie wiszę przede wszystkim na telefonie. Konferencje z malarzami, z majstrami, rozumiesz. Teraz, w tej chwili, jestem wolna.

- Świetnie. Proponuję więc przejazdkę moim cruiserem. Objedziemy twój teren i pokażę ci miejsca, gdzie ogrodzenia są w złym stanie.

- Świetnie, dzięki. Włożę tylko buty.

Ruszyła szybkim krokiem, jednak w połowie drogi po sfaitygowanej wykładzinie salonu nagle przystanęła. Nie, to niemożliwe. Najpierw skwapliwie wskoczy do samochodu sąsiadka, skorzysta z jego życzliwości, a potem zaserwuje mu swoją rewelację. Przecież to bez sensu. Trzeba to zrobić teraz.

Teraz albo nigdy.

Obejrzała się. Przez otwarte drzwi widziała Byrnea czekającego na schodkach. Spojrzała na ciemne włosy, w blasku słońca jeszcze bardziej lśniące. Na szerokie ramiona, ogorzałą twarz, biel zębów - znów się do niej uśmiecha.

A ona po prostu umiera ze strachu.

- Byrne... jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałabym ci przedtem coś powiedzieć.

- Oczywiście. O co chodzi?

- Proszę, wejdź do środka.

Byrne zmarszczył czoło, nie pytał jednak o nic. Zrobił, o co go poprosiła. Kiedy wszedł do pokoju, pokój wydał jej się jakby o wiele mniejszy.

- Napijesz się czegoś? Kawy? Herbaty?

- Nie, dziękuję.

- Może usiądziesz w tym fotelu? Jest wyjątkowo wygodny.

Byrne z marsową miną zajął miejsce w jednym ze starych zniszczonych foteli. Rozsiadł się wygodnie, jedną nogę oparł w kostce na kolanie drugiej. Niby zrelaksowany, ale czuła, że jej zdenerwowanie zaczyna mu się udzielać.

Buty do konnej jazdy wyglansowane, lśniły jak lustro. Dżinsy i koszula uprasowane. Wyszukował się do tej wizyty. Chciał zrobić na Fionie dobre wrażenie...

Ratunku!!!

- No i co to za problem, Fiono?

Ostrożnie przysiadła na brzeżku krzesła. Jaka szkoda, że nie jest to rozmowa z trudnym klientem. Była przecież specjalistką od załatwiania delikatnych spraw.

Tak. Ale biznesowych, nie prywatnych.

Miała nadzieję, że Byrne nie zauważył, jak zadrżała jej ręka, kiedy wzięła ze stolika folder i położyła sobie na podołku. Teraz bardzo głęboki wdech. Kosmyk włosów zaczesać za ucho.

Jakby schludny wygląd w jakiś sposób mógł poprawić sytuację.

- Przepraszam, Byrne, ale niełatwo mi powiedzieć to, co mam do przekazania. Na pewno bym nawet nie próbowała, gdyby to było możliwe...

Resztki rozluźnienia znikły w mgnieniu oka. Byrne usiadł prosto, obie nogi na podłodze. Ręce oparte na poręczach fotela, spojrzenie bardzo czujne.

Fiona, nie zdając sobie z tego sprawy, zaczęła nerwowo skubać okładkę foldera.

- Chodzi o to, Byrne, że kiedy po tamtym wypadku porządkowałam rzeczy brata, znalazłam coś, co wzbudziło mój niepokój. Mój brat... On chyba znał twoją żonę...

- Tak. I co z tego?

- Wiedzieliście o tym?!

- Oczywiście. Nie mieliśmy przed sobą tajemnic. Znała go, jeszcze zanim wyszła za mnie.

- A czy ty wiesz, że oni byli parą?

- Wiem. Przez jakiś czas. O co ci chodzi, Fiono?

Fiona pochyliła głowę, potrzebując chwili, żeby jako tako się pozbierać. Nie spodziewała się tego. Byrne wiedział, że Jamie i Tessa byli z sobą. Może wie i o dziecku? W takim razie ona robi z siebie kompletną idiotkę.

- Powiesz wreszcie, o co chodzi? - spytał Byrne, wyraźnie już zniecierpliwionym tonem.

Boże! Jaka okropna sytuacja. Okropna!

- Znalazłam ten folder - powiedziała cicho. - W środku są trzy zdjęcia. Myślę, że powinieneś je obejrzeć.

Wyciągnęła do niego rękę z folderem. Ale on się nie poruszył. Tylko z kamienną twarzą wpatrywał się w jej rękę. Rozdygotaną.

- Dlaczego po prostu nie wydusisz tego z siebie? - rzucił po chwili ze złością. - Co to za zdjęcia?

- To... to są po prostu trzy fotografie. Nie wiem, dlaczego Jamie wyjął je z albumu i schował do foldera. Zastanawiałam się nad tym i doszłam do jednego wniosku. Zrobił to dlatego, bo sądził...

Musi to z siebie wydusić. Musi. Ale jak? Gardło było tak ściśnięte, jakby jego ścianki skleiły się z sobą.

Przełknęła. Raz, drugi, z wielkim trudem.

- Ja... ja podejrzewam, że Jamie uważał... że to on jest ojcem Riley.

Czuła, że jej policzki płoną, oczy zapiekły.

Reakcję Byrnea widziała przez łzy.

Zaskoczenie. Szok. Przerażenie.

Zerwał się z fotela. Spojrzał na nią tak, jak tamtego dnia po wypadku. Oczy pociemniałe, prawie czarne, szkliste. Pełne niedowierzania. Ale potem, po przerażająco długich sekundach pojawiła się nienawiść. Nienawidził jej, bo zadała mu śmiertelny cios.

- Daj mi ten folder!

Wyrwał jej go z ręki i przemierzył pokój. Stał, odwrócony plecami. Położył folder na biurku i otworzył.

Fiona, połykając łzy, wstała z krzesła.

- Ta mała dziewczynka na plaży na pierwszym zdjęciu to moja matka - powiedziała do barczystych pleców.

Zegar na ścianie tykał miarowo. Wiatrak pod sufitem obracał się z szelestem. Gdzieś na dworze zaryczała żałośnie krowa. Serce Fiony biło jak oszalone.

Poza tym nic. Tylko przejmująca cisza.

Byrne brał po kolei każdą fotografię do ręki. Przyglądał jej się uważnie, potem czytał, co jest napisane na odwrocie. Dla Fiony trwało to wieczność.

Oglądał uważnie trzy zdjęcia.

Matka Fiony, jako mała dziewczynka, łudząco podobna do Riley.

Jamie i Tessa, objęci.

Słodka, niewinna Riley.

Każde zdjęcie dla niego to jak uderzenie potężnego młota, dokonującego dzieła zniszczenia.

Usłyszała tylko jeden dźwięk. Chrapliwy, zduszony jęk.

Szybko przycisnęła rękę do ust, żeby stłumić szloch.

Stało się. Do tej chwili miała jeszcze cień nadziei, że Byrne na zdjęcia rzuci tylko okiem i wybuchnie szyderczym śmiechem. Powie jej, że ma zbyt bujną wyobraźnię. Bo on nie ma nawet najmniejszych wątpliwości. W żyłach Riley płynie jego krew.

Byrne bardzo głośno nabrał powietrza. Wiedziała, że walczy z sobą. Walczy, żeby się nie poddać, nie załamać się.

- Byrne, tak mi przykro, tak bardzo mi przykro...

Odwrócił się. Jego twarz się zmieniła.

- Milcz! Ani słowa więcej!

Odwrócił się i wolnym krokiem przemierzył pokój. Stał w drzwiach. Ręce oparł na biodrach. Plecy sztywne, ramiona wyprostowane. Jakby szykował się na przyjęcie kolejnego ciosu.

Stał tak i patrzył na busz. Fiona nie odzywała się, bojąc się poruszyć. Po chwili jednak zdecydowała, że nie może przecież tak stać i patrzeć na niego. Poszła do kuchni. Po-

stała tam chwilę, potem, żeby czymś się zająć, czymkolwiek, naląła wody do elektrycznego czajnika.

Była zrozpaczona. Wczoraj, w tym kiosku, Byrne z małą Riley wybierali karnet urodzinowy dla babci. Ojciec i córka, dwie bardzo bliskie sobie osoby...

Dlaczego, na litość boską, dlaczego doszła do wniosku, że mimo wszystko należy to zrobić? Dlaczego?!

Woda się zagotowała. Wrzała przez chwilę, po czym czajnik sam się wyłączył. Fiona w ogóle tego nie zauważyła. Coś innego natomiast usłyszała od razu. Kroki Byrnea, kiedy wszedł z powrotem do domu.

Szybko otarła ręką łzy i wyszła z kuchni.

- W co ty właściwie ze mną pogrywasz?! - odezwał się Byrne przez zaciśnięte zęby.

- Ja? Pogrywam? Nie rozumiem... - szepnęła cicho.

- Te zdjęcia znalazłaś trzy lata temu, tak? Dlaczego dopiero teraz mi je pokazałaś? Bawiło cię, że masz swoją małą tajemnicę?

Bawiło?! Przeprasiny miała już na końcu języka, ale dumę ją powstrzymała. Nie mogła znieść oskarżenia o taką bezmyślność.

- Naprawdę myślisz, że się tym bawiłam?

- Przecież lubisz się zabawić, prawda? Co było na tym bałwanu? Co? A teraz bawisz się w miłą sąsiadkę!

- Przestań, Byrne! Przecież nietrudno zgadnąć, że się wahałam. Zdawałam sobie sprawę, że dla ciebie będzie to straszny cios. Poza tym rozpaczaleś po śmierci żony. Musiałam odczekać. Byrne... wiem, że mnie teraz nienawidzisz. Nie mam pretensji, to okropna sytuacja. Ale zrozumiem, zdecy-

dowałam się powiedzieć ci o tym ze względu na Riley. Jeśli ona rzeczywiście jest moją bratanicą...

- Twoją bratanicą?!

Dotarło. Byrne jęknął i przymknął oczy.

- ... nie wolno mi pomijać zapisu w testamencie brata. Riley ma prawo do spadku.

Byrne otworzył oczy. Ciskały błyskawice.

- O, nie - wychrypiał i wysunął ostrzegawczo palec w kierunku Fiony. - Riley jest moim dzieckiem, słyszysz? Byłem przy jej narodzinach, jestem jej ojcem od chwili, gdy po raz pierwszy nabrała powietrza. Mam gdzieś te twoje zdjęcia. Nie dam sobie niczego wmówić! Zapamiętaj raz na zawsze! Riley jest moją córką i masz się do niej nie zbliżać!

Fiona otworzyła usta, ale Byrne był już za progiem. Sekundę później usłyszała, jak huknęły drzwi samochodu i zawarczał silnik.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Kiedy Byrne wszedł do poczekalni, wszystkie głowy jak na komendę zwróciły się w jego stronę. Wszyscy - matki, dzieci małe i duże, starsi ludzie - spojrzeli ze zdziwieniem, jakby nie wierząc własnym oczom, że ten wysoki, postawny hodowca bydła, okaz zdrowia, zamierza marnować cenny czas ich ukochanego pana doktora.

Sam lekarz natomiast - jedyny zresztą lekarz ogólny w Gundawarze - czyli doktor Michael Henderson, powitał przyjaciela bardzo życzliwie.

- Byrne! Cześć, stary! Siadaj!

Byrne, sztywny jak deska, zajął miejsce na krześle przed biurkiem.

- Co cię do mnie sprowadza, Byrne? - spytał Michael, bardziej już oficjalnie.

- Ja... - Byrne odchrząknął. Czuł, jak kropelki potu spływają mu za kołnierz. - Chcę zrobić testy DNA.

- Testy DNA? Rozumiem.

- Takie testy to podobno najlepszy sposób na ustalenie ojcostwa.

Michael skinął głową.

- Zgadza się. Nie ma problemu. Pobierzemy próbkę śliny

i prześlemy do laboratorium. Jeśli chcesz wyników niepodważalnych, potrzebna będzie też próbka od dziecka.

Pochylił się lekko i spojrzął na Byrnea przez górną połowę swoich dwuogniskowych szkielek.

- Byrne? Czy tym dzieckiem jest Riley?

- Oczywiście! A myślałeś, że co? Latam z kwiatka na kwiatek? Bawię się w wesołego wdowca?

- Chciałem się tylko upewnić, Byrne.

A ja niepotrzebnie się wściekam, pomyślał Byrne i wziął głęboki oddech. Cholera! To wszystko ze strachu, który jak wąż wpełza mu pod skórę.

Michael odchrząknął.

- Testy DNA mogą być wcale niepotrzebne.

- Jak to?

- Wystarczy znać grupę krwi... - Michael przekreślił się w swoim obrotowym krześle, twarzą do komputera. - Zaczynam sprawdzić. Jesteś honorowym dawcą, regularnie oddajesz krew. Twoją grupę mamy w naszej bazie.

- Tak. Wiem. O Rh+.

-Aha...

Michael, wpatrzony w ekran monitora, kliknął. Sekundę potem rozległ się szum drukarki.

- Grupę krwi Riley też mamy - powiedział. - Szpital w Townsville przysłał nam zaraz po tym wypadku, razem z innymi wynikami... O, jest. Już drukuję.

Znów szum drukarki.

- Michael, powiedz mi, co właściwie wykazują te grupy krwi? Nie jestem naukowcem, wiem tylko, że tych grup krwi jest niewiele i że miliony ludzi mają taką samą.

- Tak, to prawda. Jednak na podstawie grupy krwi można wykluczyć ojcostwo.

Michael położył oba wydruki na biurku.

- Zobacz, Byrne. To twoja grupa krwi. O Rh+, jak sam wiesz. A tutaj jest grupa krwi Riley.

- Ona ma AB.

-Tak.

Z twarzy Michaela opadła maska profesjonalisty. W ciemnych oczach pojawiło się współczucie.

- Byrne - powiedział głosem bardzo łagodnym. - Mężczyzna z grupą krwi O nie może być ojcem dziecka, które ma grupę AB.

A więc stało się. Scamp nie jest jego dzieckiem.

Och, Boże...

Czuł się jak gałąź drzewa, szarpana bezlitośnie przez szalejącą wicherę. Nie mógł oddychać, przed oczyma zrobiło mu się ciemno.

Riley. Zaczął kochać ją w chwili, kiedy Tessa zorientowała się, że jest w ciąży. Zaraz po ich miesiącu miodowym. A chwila, kiedy zobaczył, jak maleństwo wysuwa się z ciała matki... Czerwona pomarszczona twarzyczka, maciupieńkie piąstki, usteczka otwarte do pierwszego krzyku...

Ta chwila na zawsze wryła mu się w pamięć.

Jego córeczka. Ich córeczka. Jego i Tessy.

Ale teraz... Teraz nie było żadnych wątpliwości. Dziecko, któremu podczas chrztu nadano imiona Riley Therese nigdy nie było i nie będzie jego córką.

- Byrne - odezwał się cicho Michael. - Rozumiem, że dla ciebie to straszny cios. Jak się czujesz?

Byrne zamrugnął oczami. Poderwał głowę. Twarz wykrzywiona w złym, sarkastycznym uśmiechu.

- Absolutnie świetnie. Jestem spokojny i cichy jak staw przy młynie.

Michael odczekał chwilę.

- To niczego nie zmienia, Byrne. Sam dobrze wiesz. Nadal jesteś ojcem Riley, tak jak dotychczas.

W jego spojrzeniu było coś zastanawiającego. Bardzo zastanawiającego...

Byrne zerwał się na równe nogi

- Ty wiedziałeś! Wiedziałeś o tym przez cały czas!

Michael spojrzał w bok. Byrne rozdygotanymi rękami chwycił wydruki z biurka i podsunął lekarzowi pod nos.

- Jak mogłeś?! Jak mogłeś coś takiego ukrywać przede mną? Od jak dawna o tym wiesz?

Michael milczał.

- Od początku? Od chwili jej urodzenia?!

-Nie.

- Od tego wypadku, tak?

Michael powoli skinął głową.

Byrne zacisnął szczęki. Nie do wiary! Fiona McLaren przez trzy lata nosiła się z tą tajemnicą, a teraz okazuje się, że jego najlepszy przyjaciel robił dokładnie to samo.

Michael też wstał i położył rękę na ramieniu Byrne'a.

- Zrozum, Byrne. Jestem twoim lekarzem i lekarzem Riley. Mogę rozmawiać z tobą o jej zdrowiu. Natomiast kwestia ojcostwa nie jest już sprawą czysto medyczną...

- Rozumiem - warknął Byrne. - Łatwo zasłonić się etyką lekarską. Tylko co z przyjaźnią? Nic dla ciebie nie znaczy?

- Byrne, straciłeś wtedy żonę! Przeżywałeś bardzo trudny okres. Usiądź, stary. Potrzebujesz chwili, żeby się z tego wszystkiego otrząsnąć.

Byrne westchnął. Usiadł na krześle pod ścianą. Opart głowę o chłodny mur i przymknął oczy. Zdawał sobie sprawę, że wyjaśnienia Michaela, choć doprowadzają go do szału, mają swój sens. Fiona milczała przez trzy lata niemal dokładnie z takiego samego powodu.

Niech ich wszystkich szlag...

Nagle przypomniał sobie o tłumie ludzi w poczekalni.

- Pójdę już, Michael.

Obaj mężczyźni wstali. Michael objął Byrne'a ramieniem.

- Pamiętaj, chłopie, to niczego nie zmienia. Riley jest twoją córką pod każdym względem. Jest nią od chwili, gdy odebrałem poród.

Na twarzy Byrnea pojawił się nikły uśmiech.

- Ten biedny dzieciak ma tylko mnie.

- Nie zapominaj, Byrne, że macie też przyjaciół. Zawsze możecie na nas liczyć.

- Dzięki.

Kiedy wyszedł na ulicę, na pałące słońce, uświadomił sobie, że dokonał złego podsumowania. Nie był jedyną bliską osobą Riley. Jego córka miała ciotkę, Fionę McLaren.

Jeszcze jeden powód, żeby od tej całej McLaren trzymać się z daleka.

Przez kolejne dwa tygodnie okręg Gundawarra nawiedziła fala upałów. W White Cliffs temperatura dochodziła do trzydziestu pięciu stopni Celsjusza. Dni były nie do znie-

sienia, noce bardzo ciepłe. Nie dawały żadnego wytchnienia. Fiona sypiała nago, tuż pod wiatrakiem kręcącym się pod sufitem. Przykryta tylko cieniutkim bawełnianym prześcieradłem. Wszystkie okna zostawiała na noc otwarte, z nadzieją, że w końcu wleci przez nie chociaż leciutki wietrzyk. Niestety, wlatywały tylko ćmy i chrząszcze, garnące się do światła lampy, kiedy Fiona czytała sobie do poduszki. W którejś z szaf znalazła moskitiery. Powiesiła jedną z nich na próbę, zalatywała jednak stęchlizną, poza tym Fiona, osłonięta ze wszystkich stron, wcale nie czuła się komfortowo. Jakby nagle dostała klaustrofobii. Zrezygnowała więc z moskitiery, a także z czytania do poduszki. Ograniczyła się do spirali zapachowej przeciw owadom, co też nie dawało komfortu. Bała się, że jakaś iskierka spadnie na mebel albo na podłogę z eukaliptusowego drewna. W rezultacie zasypiała z trudem, dręczona i upałem, i wizją płonącego domu.

Natomiast jeśli chodzi o remont, jej wysiłki zostały uwiecznione powodzeniem. Udało się wreszcie dopaść odpowiedniego fachowca i ruszyć z pracami. Najpierw łazienka, potem reszta, dlatego Fiona dalej codziennie wertowała książki o wystroju wnętrz i dzwoniła po całym kraju, szukając szafki, jaką sobie wymarzyła, czy odpowiedniego oświetlenia.

Niestety, remont nie pochłaniał jej całkowicie. Nie mogła zapomnieć o Byrne. Co noc, leżąc w łóżku, wśród zapachu trocin i świeżej farby, myślała o nim. Jak on to wszystko zniósł, po prostu - jak się miewa...

W końcu nie wytrzymała. O ósmej wieczorem, kiedy, jak podejrzewała, Byrne powinien być w domu, zdecydowanym krokiem podeszła do telefonu i wystukała numer.

Spięta do granic możliwości.

- Coolaroo, farma hodowlana bydła, słucham.

- Byrne... - Z tych emocji musiała przełknąć. - Mówi Fiona McLaren.

- Dobry wieczór, Fiono.

Niestety, zabrzmiało to bardzo chłodno. Żadnego: co u ciebie, może ci w czymś pomóc.

- Dzwonię, bo kiedyś wspominałeś, że ogrodzenia w White Cliffs są w złym stanie i bydło ucieka z pastwisk. Tak samo źle jest z pasami przeciwpożarowymi.

- Zgadza się.

- Czy mógłbyś mi polecić kogoś, komu mogłabym to zlecić?

- Musisz znaleźć kogoś, kto ma spycharkę i glebogryzarkę.

- Rozumiem. Spycharka i glebogryzarka - powtórzyła Fiona, notując szybko.

- Skontaktuj się z Benem Phillipsem. Jest w książce telefonicznej. A jeśli chodzi o ogrodzenia, to o tej porze roku ze znalezieniem kogoś do tej roboty nie ma problemu. Agencja Hodowlana w mieście da ci namiary.

- Świetnie. Dziękuję.

- To wszystko? - spytał, dalej bardzo chłodno.

Nie. Miała jeszcze tysiące pytań.

- Chciałam... - zaczęła, nerwowo skubiąc sznur od telefonu - dowiedzieć się, co u was. Czy wszystko w porządku?

- Oczywiście. Coś jeszcze?

Tak lodowato. Tak definitywnie.

Nie, nie było najmniejszego sensu przedłużać tej rozmowy.

- Już nic. Dziękuję za pomoc.

- Nie ma za co. Dobranoc.

Odłożyła słuchawkę i powlokła się do kuchni poszukać tabletek na żołądek, który jakoś dziwnie ją rozboleł.

Po co w ogóle dzwoniła? Wiadomo, zależy jej na tym faciecie, ale to nie znaczy, że ma z siebie robić idiotkę. Przecież ona u niego ma przechłapanie. Pod każdym względem.

Po trzech tygodniach morderczych upałów odrobinę się ochłodziło. Z północy nadciągnęły ciemne, burzowe chmury i zawisły nad Gundawarrą. W ciągu dnia zeszyły nizej. Po południu rozległ się pojedynczy grzmot. Potem cisza, a wieczorem, kiedy Byrne układał Riley do snu, nagle niebo przecięła błyskawica. I grzmotnęło, gdzieś bardzo blisko. Byrne wcale by się nie zdziwił, gdyby się okazało, że piorun trafił w jedno z drzew w Coolaroo.

Riley złapała ojca kurczowo za rękę.

- Tatusiu, tatusiu, nie wychodź! Ja się tak boję!

- Nigdzie nie pójde, Scamp - obiecał, głaszcząc ją po ciemnej główce. - To tylko huk. Jak fajerwerki. Dużo hałasu i jasnych światła.

- Ale mnie od tego uszy bolą!

- No to pomyśl, że taka burza robi też coś dobrego. Dzięki błyskawicom w ziemi wiążą się azotany. Wyrosnie bujna, soczysta trawa i nasze krówki będą grube.

- Naprawdę?

Riley była pod wrażeniem.

- A poza tym, jeśli dopisze nam szczęście, podczas tej burzy spadnie porządny deszcz.

- Ja lubię deszcz.

- Kto nie lubi! A teraz już śpij.

Dziewczynka ułożyła się postusznie, tuląc do siebie swoje bardzo już sfatygowane skarby, Dunkuma i Athengara. Byrne przykrył dziecko cienką, różową kołderką i przysiadł na moment na brzegu łóżka. Kiedy spojrzął na buzię dziecka, poczuł znajomy przyptyw ojcowskiej miłości. Jego Riley. .. Ciemne półkola rzęs, jak mnóstwo grubych przecinzków, kładły się cieniem na pucołowatych policzkach. Jaka ładna jest jego córeczka....

Lecz bolało, kiedy pomyślał, że to śliczne, słodkie stworzenie wcale nie nosi w sobie jego genów, jego krwi. Oczywiście, zdecydowany był za wszelką cenę nie dopuścić, żeby jego relacje z dzieckiem uległy jakiegokolwiek zmianie. To jego dziecko. Dziecko, które bardzo kocha. Tak będzie zawsze. On, ojciec, i jego córka Scamp. Niestety, tylko ona. Przegapił szansę, żeby mieć więcej dzieci. Scamp nie miała braci. Ród Drummondów wygaśnie.

Siedział nieruchomo, starając się nie ulegać coraz bardziej ponurym myślom. Za oknem słychać było, jak pierwsze ciężkie krople deszczu spadają na ziemię. Gdzieś w odległości rozległ się kolejny grzmot.

Słyszał też cichy, miarowy oddech dziecka. Zasnęło. Pocałował pucołowaty policzek i na palcach wyszedł z pokoju. Poszedł nie do siebie, lecz, jak to robił już od wielu tygodni, na werandę. Posiedzieć w starym fotelu i popatrzeć na ciemność. Przedtem wieczory spędzał inaczej. Dużo czytał, czasami oglądał telewizję albo w swoim gabinecie pracował nad księgami rachunkowymi. Teraz jednak nie potrafił się na tym skupić. W jego głowie było zbyt niespokojnie. Po-

woli zmieniać się znów w melancholijnego samotnika, jakim był przez trzy lata po śmierci żony. Nawet nie poszedł na improwizowaną kolację u Jane i Mitcha. Następnego dnia aż trzy zaprzyjaźnione pary dzwoniły, żeby sprawdzić, czy z nim wszystko w porządku. A on z nimi wszystkimi obszedł się, delikatnie mówiąc, nie bardzo łagodnie.

Teraz patrzył w noc i po raz setny pomyślał, że Fiona McLaren nie powinna nigdy w życiu ruszać się z Sydney. Na krok. Powinna siedzieć tam i mroczne tajemnice rodzinne zachować wyłącznie dla siebie.

Fiona... Spojrzał w stronę White Cliffs i nagle jego myśli pobiegły własnym torem. Takim, którego absolutnie wołałby uniknąć. Niestety, nie dało się ich już cofnąć. Uśmiechając się pod nosem, zaczął zastanawiać się, czy ta cała Fiona McLaren boi się burzy.

Leży tam teraz sobie, płomieniste włosy rozsypane po poduszce. Pamiętał ich pocałunek na balu. Bardzo dobrze. Trudno zapomnieć, skoro jej usta tak bardzo mu smakowały...

Cholera! Normalnie ciągnie go do niej!

Zerwał się z fotela i kilkakrotnie przemierzył werandę. Wściekły, że pociąga go właśnie ta kobieta. Co gorsza, pociąga nie tylko fizycznie. Po prostu zaczyna mu się podobać. Jej inteligencja, odwaga. W innych okolicznościach na pewno szukałby jej towarzystwa. W innych, bo nie w tych, wiadomo. Teraz może zrobić tylko jedno. Fionę McLaren całkowicie wyrzucić ze swej pamięci.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Fionę obudził strach. Paniczny. Usiadła na łóżku, całkowicie przytomna, jakby w ogóle nie spała, i zaczęła wsłuchiwać się w noc.

Co to mogło być? Zły sen? Burza dawno minęła, na dworze szalała wichura. Czyżby obudził ją wiatr?

Nie. To nie wiatr. Nagle poczuła, jak serce podchodzi jej do gardła.

Te trzaski, syk. I szum. Złowrogi, o niebywałym natężeniu.

Zapach. Charakterystyczny, gryzący.

Boże! Tylko nie to!

Zeskoczyła z łóżka, pomknęła do okna i jednym gwałtownym ruchem rozsunęła zasłony. Całe wzgórze stało w ogniu. Czerwona góra na tle czarnego nieba. Potok płomieni spływał po zboczu i mknął dalej. Dokładnie w stronę domu.

A Fiona McLaren jest sama, sama jak palec. Dziewczyzna z miasta, kompletnie bezradna w sytuacji, gdy płonie busz.

Fiono, błagam cię, tylko nie panikuj. Włącz szare komórki, bo inaczej zginiesz.

Poczuła na twarzy gorący podmuch. Wicher wstrząsnął domem. To zmobilizowało ją do działania. Podbiegła do telefonu i drżącym palcem wystukała trzy zera.

- Proszę, niech natychmiast przyjedzie tu straż pożarna! Natychmiast! - krzyknęła, czując jeszcze większy lęk, kiedy słyszała swój własny przerażony głos. - Jestem w White Cliffs, farma hodowlana bydła. Piętnaście kilometrów za miastem, przy drodze do Tilby. Pożar buszu. Wielki pożar. Ogień idzie na mój dom!

Spokojny głos w słuchawce poinformował, że zgłoszenie zostało przyjęte.

- Straż pożarna jest już w drodze.

- Och, cudownie. A co ja mam robić? Wyjść na dwór? Uciekać?

- Nie. Za duże ryzyko. Lepiej czekać w domu. Straż niedługo przyjedzie

- To znaczy kiedy?

- Za jakieś dwadzieścia minut.

Za dwadzieścia minut z Fiony McLaren zostanie tylko garstka popiołu.

Znów podbiegła do okna. Ogień był coraz bliżej. Wielka ognista kula przetaczała się przez korony gigantycznych eukaliptusów. Dołem czerwień, górą złoto. Czerwień łączyła się ze złotem. Drzewa jedno po drugim stawały w płomieniach i eksplodowały z hukiem, jak bomby.

Matko święta! Dlaczego ta kobieta kazała zostać jej w domu? Czy nie lepiej spróbować teraz dostać się do samochodu i uciec nad rzekę?

Nagle pomyślała o Byrnie Drummondzie. Przecież on tu mieszka od urodzenia. Wie, co robić. Trzeba do niego zadzwonić. Przecież mieszkają po sąsiedzku, a sytuacja... sytuacja nie może być bardziej rozpaczliwa.

Dokładnie w tym momencie odezwał się telefon. Fiona doskoczyła do niego jednym susem i złapała za słuchawkę.

- Tak! Halo! Halo!!

- Fiona? Tu Byrne.

- Chwała Bogu! Byrne! Właśnie miałam do ciebie dzwonić. Busz się pali! Ogień idzie prosto na mój dom!

- Tak. Zauważyłem to. Już jadę do ciebie.

- Naprawdę?! Och, Byrne, to cudownie! Dziękuję, bardzo ci dziękuję! Mógłbyś się pospieszyć? Nie jestem panikarą, ale nie mam pojęcia, co zrobić!

- Jadę najszybciej, jak mogę. Będę za jakieś dziesięć minut.

- Dziesięć?!

- Zadzwońm po straż pożarną.

- Ja też dzwoniłam. Ale zanim przyjadą, miną wieki. Kazali mi siedzieć w domu, czy nie lepiej jednak uciekać nad rzekę?

- Jak daleko od domu jest ogień?

- Poczekaj, zobaczę!

Pomknęła do okna, potem z powrotem.

- Jakies dwieście metrów.

- W takim razie musisz zostać w domu. Nie dasz rady dotrzeć do rzeki. Za późno.

- Och, Boże mój, Boże!

- Nie martw się, Fiono. Będzie dobrze. Tylko nie ruszaj się z domu.

Och, jak by chciała, żeby te słowa wlały w niej choć trochę otuchy. Niestety...

- Byrne, może jednak pobiegnę do samochodu? Dojadę do drogi.

- Absolutnie nie. Widzę stąd, że ogień idzie już wzdłuż drogi do White Cliffs.

- To jak ty tu dojedziesz?!

- Jadę inną drogą, przez pastwiska.

- Ja bym też mogła pojechać przez pastwiska.

- I przy okazji władować się na drzewo albo do kanatku.

Nie ma mowy. Siedzisz w domu i czekasz. Zaraz tam będę. Aha, powinniśmy utrzymywać z sobą stały kontakt. Linie wysokiego napięcia mogą się spalić. Kiedy połączenie zostanie przerwane, przejdź na komórkę.

- Dobrze. Lecę po komórkę. Nie rozłączaj się.

W ciągu kilku sekund była już z powrotem. Szybko wprowadziła do komórki numer, który podyktował jej Byrne. Potem, z duszą na ramieniu, odłożyła słuchawkę telefonu stacjonarnego, wystukała numer w komórce i omal się nie rozpląkała z radości, kiedy ponownie usłyszała głos Byrnea.

- Co teraz, Byrne?

- Musisz ostonić się przed ogniem. Co masz na sobie?

- Teraz? Hm... - Spojrzała w dół. - Teraz nic.

- Ubierz się, jak najszybciej. Dzinsy, wełniany sweter z długimi rękawami, buty, najlepiej skórzane, solidne. I kapelusz. Pozamykaj też wszystkie okna i drzwi, żeby do środka nie wpadła jakaś iskra.

- Jasne! Dzięki!

Była mu ogromnie wdzięczna za wszystkie instrukcje. Kiedy człowiek wie, co robić, i tym się zajmie, łatwiej zapanować nad strachem. Ubrała się błyskawicznie, potem przebiegła przez dom, zamykając sukcesywnie wszystkie okna.

Starając się nie patrzeć, co dzieje się za nimi. Nie patrzeć na fruujące w powietrzu płonące gałęzie drzew. Na przerażającą ścianę gniewnych pomarańczowo-czerwonych płomieni, która przesuwała się przez czarną noc, pożerając wszystko, co napotkała na swojej drodze.

- Jesteś tam, Byrne?

- Tak. Jak tam u ciebie?

- Okropnie! Ogień jest coraz bliżej. O Boże!

- Fiono! Jesteś tam?

- Tak. Światło zgasto. Byrne, tak się boję! Gdzie teraz jesteś?

- Już niedaleko. Zaraz tam będę.

- Proszę, przyjedź jak najszybciej, proszę, proszę...

Głos Fiony załamał się, przeszedł w szloch.

- Wszystko będzie dobrze, Fiono. Jesteś mądrą, dzielną dziewczynką. Teraz pozgarniaj wszystkie koce i przykryj się. Zrobi się bardzo gorąco, musisz się przed tym osłonić.

- Dobrze. Idę do szafy... Mam już koce. Co teraz?

- Teraz weź butelkę z wodą. Musisz dużo pić, żebyś się nie odwodniła.

- Dobrze. Idę do kuchni po wodę.

- Grzeczna dziewczynka.

- Byrne?

-Tak.

Wsunęła komórkę między brodę a ramię i szybko wyjęła z lodówki butelkę z wodą.

- Dziękuję, Byrne. Dziękuję za wszystko.

Ogień szedł na dom dokładnie z drugiej strony, dlatego Fiona zdecydowała, że zostanie w kuchni. Blisko kojącego

chłodu solidnej żelaznej lodówki. Wytrzymała tam jednak tylko chwilę. Podbiegła do okna i...

I wtedy usłyszała klakson. W ciemnościach, na południe od domu, pojawiły się dwa rozchwiane żółte światła.

Byrne. Chwała Bogu.

Tuląc do piersi koce, komórkę i butelkę z wodą, wpatrywała się z natężeniem w żółte światła. Samochód był coraz bliżej. Kiedy wreszcie dojechał do trawnika, wybiegła z domu jak wichur. Sfrunęła po schodkach werandy i potykając się, pognąła przez trawnik.

Land cruiser wyhamował z piskiem opon. Sekunda i Byrne stał już przy niej. Objął ją. Nigdy jeszcze w życiu nie czuła tak wielkiej ulgi, jak teraz, w jego ramionach. Był taki wysoki i silny, prawdziwa opoka.

- Po chwili puścił ją, delikatnie odsunął na bok i wyjął z samochodu długą latarkę.

- Poczekaj tu, Fiono. Pójdę sprawdzić, jak to tam wygląda.

Zrobił szybki obchód domu. Widziała przez otwarte drzwi, jak odkręcił kran. Słyszała też, jak zaklął, kiedy spadła tylko jedna kropla.

- Ten twój zarządca to zwyczajny obibok! - zawołał, starając się przebić przez ogłuszający ryk nadciągającego ognia. Po chwili wrócił i przekazał jej hiobową wieść.

- Nie ma jak ratować domu.

- Za małe ciśnienie wody?

- Nie tylko. Pasy przeciwpożarowe na tyłach farmy są kompletnie zarośnięte. Ogień idzie na dom i nic go nie zatrzyma.

- A straż pożarna?

- Obawiam się, że przyjadą za późno.

Spojrzał ponurym wzrokiem na dom i wymamrotał coś pod nosem, bardzo cicho, wyraźnie nie było to przeznaczone dla uszu Fiony.

Dokończył już głośniej.

- Normalnie dom jest najbezpieczniejszym miejscem!

- To co teraz zrobimy?

- Znikamy stąd. Jak najprędzej.

Spojrzała na dom. Wyglądał tak bezbronnie. Nie mieszkała tu długo, ale dom to dom. A ten miał w sobie tyle możliwości. Nowa łazienka była taka śliczna. Trzeba zostawić ją płomieniom na pożarcie...

- Ale ja właśnie zaczęłam remont! - krzyknęła rozpaczliwie, choć sama czuła, że robi z siebie idiotkę.

- Trudno, Fiono. Chodź, nie traćmy czasu.

Wiatr ciskał fontanny iskier na dach domu. Byrne szybko otworzył drzwi samochodu i wepchnął Fionę do środka.

- Wsiadaj! Nie mam zamiaru ostatnich minut na tej ziemi spędzać na kłótni z jakimś rudzielcem!

Fiona wgramoliła się do środka, Byrne w międzyczasie usadowił się za kierownicą. Trzasnęła drzwiami. I spojrzał na nią. Inaczej niż dotąd.

Spojrzał niemal... z czułością. Dlatego natychmiast wybaczyła mu tego rudzielca.

- Zapnij pasy - zakomenderował.

Duży biały czterośladowy pojazd ruszył, podskakując na nierównej ziemi padoku przed domem. Długie światła włączone, żeby dobrze oświetlić drogę.

- Byrne, uważaj! Tam jest płot!

Land cruiser, ku jej zdumieniu, pruć dalej do przodu, rwąc kolczaste druty, jakby były cieniutkimi nitkami.

Spojrzała do tyłu, na dom, otoczony teraz potężnym murem pomarańczowo-czerwonych płomieni. Wyglądało to strasznie, jak scena z filmu grozy. Niestety, to nie był film. Jeszcze pół godziny temu Fiona w tym domu spała głębokim snem...

Samochód podskakiwał na wyboistej drodze. Potem wjechali prosto w dużą kępę krzewiastych eukaliptusów i akacji. Byrne, szybko zmieniając biegi, wyminął grube pnie i pojechał dalej, po niskim poszyciu.

Kiedy samochód wspiął się na niewielkie wzniesienie, Fiona ponownie odwróciła się, żeby spojrzeć na dom.

Domu nie było. Tylko ogień.

Zjechali w dół, po stromym brzegu wyschniętego strumienia. I musieli się zatrzymać. Koła obracały się bezradnie w rzadkim piachu.

- No to jesteśmy załatwieni - szepnęła, przerażona. Byrne się uśmiechnął.

- Oddam prawo jazdy, jeśli nie wyjadę stąd moją bryką. Po raz kolejny zmiana biegów, parę cichych przekleństw i samochód już piął się w górę przeciwnego, równie stromego brzegu.

- Ten wyschnięty strumień przysłuży nam się jako prowizoryczny pas przeciwpożarowy - powiedział Byrne. - Udało nam się odjechać spory kawałek. Ale teraz skręcamy i uciekamy na wschód. Nie możemy znajdować się na jednej linii ze ścianą ognia. Jeśli wiatr powieje porządnie w naszą stronę, dopadnie nas. Taki duży ogień jak ten potrafi posuwać

się do przodu szybciej niż my w samochodzie po nierównym terenie.

Fiona zadrzała.

- Gdyby nie ty, Byrne, byłoby już po mnie.
- Byłaś bardzo dzielna, Fiono.
- Nieprawda. Ostatnia fujara.
- Nie wpadłaś w histerię.
- Tylko dlatego, że ty jechałeś do mnie. Tylko dlatego...

Samochód zwolnił, zatrzymał się. Byrne nie zgasił silnika.

Odwrócić się, rozpiąć pasy i ku jej zaskoczeniu - przytulił ją do siebie. Do cudownie ciepłej i szorstkiej bawełny roboczej koszuli. Zdawała sobie sprawę, że ten miły odruch to po prostu zwyczajna reakcja dobrego sąsiada, który pomaga komuś w krytycznej sytuacji.

Niemniej jednak - było cudownie. Czowała zapach Byrne'a, widziała zarys jego szyi dosłownie kilka centymetrów od niej. Tam najchętniej wtuliłaby twarz...

Nagle usłyszeli syreny. Przez czerń nocy przedarły się światła reflektorów, skierowane w stronę złowrogiej łuny.

- Jadą chłopaki z Gundawarry - powiedział Byrne. - Straż pożarna.

- Czy nie powinniśmy ich zawiadomić, że jesteśmy bezpieczni?

- Jasne! - Byrne chwycił za komórkę. - Powiem, że jesteś ze mną.

Szybko przekazał strażakom wiadomość, potem spojrzał na Fionę.

- Nie ma sensu wracać do White Cliffs. W niczym tam nie pomożemy. Zabieram cię do Coolaroo.

Ruszyli. Przejechali przez rzekę, po niskim drewnianym moście i wjechali na wyboistą drogę przez busz. Fiona usiadła wygodniej, oparła się i sennym wzrokiem popatrywała na migające z boku cienkie pnie drzew. Oczy same jej się zamykały. Jeszcze chwila i chyba by zasnęła. Gdyby Byrne nie oznajmił:

- Już dojeżdżamy.

Samochód wjechał na szeroką, o wiele równiejszą drogę, biegnącą wzdłuż płotu. Kawałek dalej przed nimi coś się srebrzyło. Na pewno metalowy dach domu w Coolaroo.

- Byrne, jak myślisz, która to może być godzina?

- Gdzieś koło drugiej. W nocy. - Byrne spojrział na nią przelotnie i uśmiechnął się. - Będiesz mogła od razu wskoczyć do łóżka. Nasz pokój gościnny jest zawsze gotów na przyjęcie gości.

Kiedy podjeżdżali pod dom, przygasił światła, ale Fiona i tak dostrzegła półkole wysokich sosen Bunya, a przed nimi równą powierzchnię trawnika. Potem zobaczyła dom. Długi, niski i drewniany, pomalowany na biało. Na werandzie zapaliło się światło. Żłocisty snop rozjaśnił czern trawnika. Teraz Fiona zobaczyła ustawione równo płotki z białych kratek, wielkie wiszące kosze z olbrzymimi paprociami i donice z purpurową bugenwillą.

Samochód zatrzymał się. Byrne wysiadł i otworzył drzwi od strony Fiony.

- Jak znam Ellen, na pewno nastawiła już wodę.

- Ellen?

- Ellen Jackson. Moja gospodyni.

Gospodyni? Młoda, ładna? Fionie powinno to być dosko-

nale obojętne. Niestety, nie potrafiła stłumić w sobie nadziei, że kobieta ta dawno przekroczyła osiemnastkę.

I faktycznie! Na werandzie pojawiła się osoba siwowłosa, pulchna, o bardzo miłej pogodnej twarzy. Ubrana w różowy pikowany szlafrok i niebieskie kapcie ze sztucznego futerka.

- Och, nareszcie, nareszcie jesteście! Kochanie... - to do Fiony - jak się cieszę, że nic ci się nie stało... - I do Byrne'a:

- Jak było? Bardzo źle?

- Wystarczająco. Nie wiem, czy strażacy dadzą radę uratować dom.

- Och, Boże, Boże... Biedactwo! - Ellen serdecznie objęła Fionę. - Co ty teraz musisz przeżywać... Wchodź, kochanie, wchodź. Przynajmniej możemy ci zaproponować ciepłe łóżko i gorącą herbatę.

Poprowadziła Fionę przez duży hol do równie dużej kuchni na tyłach domu. Fiona dyskretnie rozglądała się dookoła. Z ciekawością i z zachwytem. Lśniące drewniane podłogi przykryte były perskimi dywanami w piękny wzór w trzech kolorach - bordowym, granatowym i kremowym. Eleganckie lampy rzucały ciepłe światło. Wysoki regał z książkami, przed regałem fotel. Dębowy kredens - z lustrem! - na blacie wielki dzban, z którego wylewały się szkarłatne kwiaty banksji i kremowe dzikie orchidee.

A kuchnia.... Kuchnia była cudowna. Ogromna, po staroświecku zapchana sprzętami, z drewnianą podłogą w kolorze miodu i zastonkami w niebieską kratkę. Wokół wielkiego sosnowego stołu wianuszek czerwonych krzesel.

Podobną kuchnię Fiona chciała mieć w White Cliffs...

- Siadaj, kochanie, siadaj.

Ellen odsunęła jedno z czerwonych krzesel. Na stole postawiła kubek gorącej herbaty i talerz z domowym ciastem.

- Częstuj się, kochanie. A potem od razu do łóżka. Po tak strasznych przeżyciach musisz wypocząć.

Była cudowna, uosobienie ciepła i życzliwości. Taka matczyńska. Fiona nie pamiętała, żeby jej rodzona matka tak troszczyła się o nią.

Do kuchni wszedł Byrne.

- Rozmawiałem ze strażakami - zakomunikował. - Udało im się opanować ogień prawie całkowicie.

- Już? To świetnie. A co z domem?

- Niestety, Fiono, niewiele udało się uratować.

Skinęła głową, pewna, że teraz wpadnie w wielkie przygnębienie, może nawet rozpacz. Tymczasem nie. Tę wiadomość przyjęła ze spokojem.

Nie załamała się, bo obok stał Byrne i patrzył na nią. W jego oczach nie było ani śladu dawnej wrogości.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Następnego ranka, kiedy Fiona pojawiła się w kuchni, wszyscy byli już w połowie śniadania. Stała w drzwiach, ubrana w koszulę khaki i niebieskie dzinsy, które w nocy, podczas pożaru, wkładała w takim pośpiechu. Biała, pod oczami sińce, rude wijące się włosy w nieładzie. A jednak Byrne poczuł charakterystyczny ucisk w dołku. Fiona McLaren należała bowiem do tych nielicznych kobiet, które zaraz po obudzeniu wyglądają niebezpiecznie seksownie.

- Dzień dobry! Wydawało mi się, że słyszę głosy - powiedziała. - Która to już godzina?

- Ja zaraz idę do szkoły - poinformowała ją z poważną miną Riley, ubrana w szkolny mundurek. - Czy to prawda, że twój dom się spalił?

Byrne szybko pospieszył z interwencją.

- Scamp, pozwól przynajmniej Fionie usiąść, zanim zaczniesz bombardować ją swoimi pytaniami.

Riley zwróciła się więc do niego.

- Tatusiu, a czy nasz dom też się spalił?

- Nie - powiedział i dał jej prztyczka w nos.

- Dlaczego nie?

Odpowiedzi udzieliła Fiona, uśmiechając się do dziecka.

- Ponieważ twój tata dba o Coolaroo. Pilnuje, żeby pasy przeciwpożarowe były zawsze w dobrym stanie.

Ellen była już w połowie drogi do kuchenki i skwierczącej patelni z jajkami oraz bekonem.

- Zjesz porządne śniadanie, prawda, Fiono?

- Och nie, dziękuję. Herbata i tost wystarczą.

- Nie chcesz jajek na bekonie? - spytała z niedowierzaniem Riley. - Dlaczego? Jak je zjesz, wyrosną ci włosy na piersiach!

Ojciec zmuszony był ponownie interweniować.

- Scamp! Co ty wygadujesz!

- Ale Ted mi tak powiedział. Prawda, Ted?

W kuchni na moment zapadła niezręczna cisza. Mała Riley była wyraźnie speszona. Ellen, spojrzawszy na męża z politowaniem, kolejne spojrzenie skierowała w sufit, czyli ku niebu, tam szukając pomocy. Ted pochylił głowę, a policzki Fiony pokrył ciemny rumieniec.

- Scamp, czy ty przypadkiem nie powinnaś ruszać już do szkoły? - spytał Byrne po chwili, zmieniając temat, i wszyscy odetchnęli z ulgą. Ellen zaczęła pakować dla Riley lunch, Ted poszedł wyprowadzić swojego pikapa, którym podwiózł Riley do bramy Coolaroo, skąd miał zabrać ją szkolny autobus.

Fiona w międzyczasie zdążyła wypić jedną filiżankę herbaty i nalać sobie drugą. Zaczęła smarować drugiego tosta przepyszna marmoladą autorstwa Ellen.

- Pojadę dziś do White Cliffs sprawdzić, jak to tam wszystko wygląda - powiedział Byrne. - Myślę, że dobrze by było częściej twojego bycia przegnać na jakiś czas do Coolaroo. Potrzymam je tutaj, zanim nie naprawi się twoich płotów.

Fiona odłożyła nóż.

- Pojadę z tobą, Byrne. Pomogę ci.

Byrne sposepniał.

- A czy ty nie powinnaś dziś trochę odpocząć? Poza tym jadę tam konno. Nie na przejażdżkę, będę szukał bydła, które rozbiegło się, przerażone pożarem. Czy ty w ogóle umiesz jeździć konno?

- Oczywiście!

Głowa Fiony uniosła się dumnie, zielone oczy rozbłysły. A Byrne pomyślał - wielka szkoda. Stanowczo wołał nie mieć przy sobie przez cały dzień tak seksownej kobiety, która burzyła jego spokój.

- Odniosłem jednak wrażenie, że boisz się koni.

- Kiedy stoję na ziemi obok wielkiego ogiera, który staje dęba, nie czuję się pewnie. Co innego, kiedy siedzę w siodle. Nie ma problemu. Oczywiście, jeśli masz tu jakiegoś trochę spokojniejszego konia niż twój ogier.

Wpatrywała się w niego, czekając na jego decyzję. Oczy błyszczące, pełne zapału - do czasu. Nagle jakby trochę przygasty.

- No dobrze... - bąknęła, wzruszając lekko ramionami. - Przyznaję się. Dość dawno nie siedziałam na koniu.

- To znaczy, jak długo?

- Kilka lat. Pięć, no... może sześć. Ale przedtem jeździłam naprawdę dużo. Wakacje zawsze spędzałam na farmie mojego wuja. Później, kiedy zaczęłam pracować, jeździłam konno podczas weekendów. Potem, niestety, całkowicie pochłonęła mnie praca zawodowa. Ale tego podobno się nie zapomina, prawda?

Jaka uparta. Jak bardzo przypomina teraz Riley!

Nic dziwnego. Rodzona ciotka!

Poczuł ukłucie, tak piekące, że drgnął.

- To nie będzie przejażdżka, tylko ciężka praca. Wykończysz się.

- No cóż... - Fiona, wydawszy z siebie głębokie westchnienie, wzięła nóż do ręki i przekroiła tosta na pół. - Podejrzewam, że w ten oto uprzejmy sposób dajesz mi po prostu do zrozumienia, że będę ci przeszkadzać.

O! Przeszkadzać! I to jest szansa. Potwierdzić?

Z drugiej strony - cały dzień bez Fiony. Czy on naprawdę tego chce? Wyobraził sobie, jak jedzie obok niego, uśmiecha się, jej zielone oczy błyszczą pod rondem kapelusza...

Pomyślał o długich latach, kiedy zawsze jeździł sam. Zawsze starał się nie mieć żadnych pretensji do Tessy, że okazuje tak niewiele zainteresowania farmą Coolaroo. Liczył się dla niej tylko dom.

- Dobrze. Osiodłam ci spokojnego konia. Możesz na próbę przejechać się po padoku koło domu.

Był taki jeden okropny moment, kiedy Fiona pomyślała, że nie da rady wsiąść. Klacz o imieniu Grey Lady stała cierpliwie, jednak siodło wydawało się być stanowczo za daleko od poziomu ziemi. O wiele wyżej niż zachowała to w pamięci. Niestety, miała prawo się pomylić, od jej ostatniej przejażdżki minął przecież kawał czasu. Podczas pertraktacji z Byrneem trochę rozminęła się z prawdą. Nie pięć ani sześć, tylko dziesięć. Po raz ostatni siedziała na koniu dokładnie dziesięć lat temu.

Naturalnie, gdyby teraz okazała strach, Byrne natychmiast by to wykorzystał i kazał jej zostać. Dlatego, choć z dużą na ramieniu, zebrała lewą ręką wodze, oparła ją na kłębie i lewą stopę wsunęła w strzemię. Prawą nogą odbiła się od ziemi, przerzuciła ją przez grzbiet konia. I - uff... - była już w siodle.

Zadowolona z siebie, wyprostowała się elegancko i spod runda kapelusza, który pożyczył jej Byrne, postąpiła mu promienny uśmiech.

- Gotowa? - zawołał.

- Jasne!

Ruszyli stępą. Fiona trochę zdenerwowana, czuła bowiem na sobie baczne spojrzenie Byrne'a. Sprawdzał ją. Na szczęście, Grey Lady była po prostu ideałem i Fiona powoli zaczęła się odprężyć. Cieszyć się samą jazdą. Tym, że siedzi w siodle z gładkiej, wyrobionej skóry, że czuje pod sobą rytmiczne ruchy szlachetnego zwierzęcia.

Kiedy przejechali przez padok przy domu, przeszli w lekki galop, czyli jeszcze większą przyjemność. Zdawała sobie sprawę, że pod koniec dnia będzie ledwo żywa, oczywiście. Ale tym będzie martwić się później.

Tym bardziej że teraz były inne powody do zmartwienia.

W poczerniałym buszu w White Cliffs nadal się tliło, dlatego pojechali bokiem. Zdruzgotani widokiem spustoszenia, jakiego dokonał ogień. Fiona widziała już kiedyś skutki pożaru buszu, ale z daleka, z samochodu, kiedy przejeżdżała autostradą. Serce jej się krajało na myśl, jak ucierpiały rośliny i stworzenia.

Tym razem było o wiele ciężiej. W ciągu minionych ty-

godni przywiązała się do tych stron, dlatego tak bolało, kiedy patrzyła na wzgórze pokryte setkami martwych czarnych pni. Na nagą, poczerniałą ziemię i skały. Tam, gdzie jeszcze wczoraj podziwiała kredowobiałe pnie i gałęzie, ustrojone w miękkie, niebieskozielone, zwężające się liście. Gdzie zachwycała się trawą w kolorze szampana, wysoką do kolan i kangurami na gładkich, jasnych głązach, wylegującymi się na słońcu.

Teraz wszędzie czarno. Nad tą czernią krążą drapieżne ptaki... Zadrżała na myśl, ile to płochliwych stworzeń i stworzonek z buszu straciło życie.

- Busz zadziwiająco szybko odradza się po pożarze - powiedział Byrne. - Już za tydzień się tu zazieleni.

Fiona milczała, ich oczom bowiem ukazał się już dom. To, co z niego pozostało. Pogorzelnisko. Dach z pofalowanej blachy, poskręcany, leżał na ziemi. Ściany czarne, miejscami w ogóle przestały istnieć. Poczerniałe ramy okienne, bez szyb, ledwo trzymające się na zawiasach. Jak rozchwiane zęby, które niedługo wypadną.

- Przykro mi, Fiono - powiedział cichym głosem Byrne.

- Ale nie sądzę, żeby cokolwiek udało się uratować.

Fiona uśmiechnęła się smutno.

- Dobrze, że dopiero zaczęłam remont.

- Jesteś ubezpieczona?

- Tak. Dom i cały dobytek.

- A bydło? Ogrodzenia?

- Nie jestem pewna. Ale myślę, że tak.

Zamrugnęła oczami, żeby powstrzymać łzy. Co spłonęło? Laptop, ale wszystkie ważne pliki miała przecież w kompute-

rze w Sydney. Ubrania. Nic, czego miałyby żałować. Oprócz sukni, którą miała na balu w Gundawarze. MP3 z ulubioną muzyką można kupić sobie nowy...

Ale tam były przecież też rzeczy Jamiego.

Były trzy fotografie. Przekłęte zdjęcia. Gdyby nie one, Fiona być może nigdy by nie wróciła do White Cliffs. Byrne nigdy by nie nosił tej straszliwej rany w sercu.

- Jedziemy? - spytał.

Skinęła tylko głową.

- Może po tym wszystkim dobrze nam zrobi gorąca herbata. Masz ochotę? - spytał.

- Herbata?

- Zanim zaczniemy szukać bydła, pojedziemy nad rzekę i napijemy się herbaty przy ognisku.

Przy ognisku. Oczywiście. Po twarzy Fiony przemknął błady uśmiech.

- Kiedy człowiek napije się gorącej herbaty, wszystko wydaje się już nie takie straszne.

Na brzegu rzeki wyszukali zacienione miejsce z płatkiem miękkiej trawy. Byrne miał ze sobą w sakwie cały sprzęt. Nazbierał gałązek i rozpałił ognisko. Nabrał do metalowej puszkii wody z rzeki i postawił ją na ognisku.

Ogień cichutko trząsał, woda w rzece płynęła leniwie. Idealna chwila, żeby się odprężyć. Z tym Fiona miała jednak trudności. Niestety, po tak długiej przerwie jazda dawała się jej już we znaki. Tu i tam zaczynało pobolewać, poza tym na duszy też nie było lekko. Wciąż myślała o tych zdjęciach, o spustoszeniu, jakiego dokonały.

- Masz zamiar odbudować dom? - spytał Byrne.

- Sama nie wiem. Zależy, jakie będą wymagania kupca.

- Nadal jestem zainteresowany.

Fiona pokiwiała głową. Odczekała chwilę, odchrząknęła.

- Nie możesz kupić całej ziemi, Byrne. Jamie zrobił zapis dla swego potomka. Połowa White Cliffs należy już do...

Nie, tego zdania nie była w stanie dokończyć.

Byrne siedział z łokciami opartymi na kolanach i patrzył w ogień. Milczał. Milczał tak długo, że Fiona zaczęła żałować swoich słów. Wczoraj wieczorem Byrne okazał jej tyle serca, dziś rano też był taki życzliwy. Czowała, że stosunki między nimi zaczynają się jakoś układać, nawiązuje się nić porozumienia. Wątała, bo wątała, ale zawsze.

Niestety, wspominając o Jamie, Fiona zepsuła wszystko.

- Byrne... - zaczęła ostrożnie - to, co zrobił mój brat...

Jestem bardzo przybita tym, że wmieszał się do waszego małżeństwa.

Woda zawrzała. Byrne wrzucił do niej garść herbacianych liści i zamieszał gałązką. Woda natychmiast pociemniała, przybierając kolor ciemnego miodu. Potem Byrne wyszukał mocniejszą gałąź, żeby zdjąć puszkę z ognia.

Spojrzał na Fionę, po czym przeniósł wzrok na dopalające się ognisko. Wyraz twarzy miał nieprzenikniony.

- Może ci to w jakiś sposób ulży - powiedział lekko zachrypniętym głosem - ale... ale ja nie sądzę, żeby moja żona zdradziła mnie z twoim bratem.

Fiona ze zdumienia aż otworzyła usta.

Byrne ustawił na ziemi obok puszek dwa zielone emaliowane kubki i stoik po dżemie napełniony cukrem. Na stoiku położył tyżeczkę.

- Zanim się pobraliśmy, między Tessą a mną bywało różnie. Rozstania i powroty - mówił dalej, nie patrząc na nią. - W pewnej chwili postanowiliśmy ostatecznie zerwać z sobą. Tessa była okropnie zdenerwowana. Wróciła do Sydney i odnowiła znajomość ze swoim dawnym chłopakiem.

- Z Jamiem?

- Tak. Kiedy wyjechała, uświadomiłem sobie, że byłem idiotą. Powinienem być zacząć działać od razu, ale robiliśmy wtedy wielki spęd bydła. Wyjechałem w busz na wiele tygodni. Ale kiedy byłem wolny, natychmiast pojechałem za nią. Podniósł puszkę i rozlał herbatę do obu kubków.

- Słodzisz?

- Tak, proszę. - Odebrała od niego kubek z mocną, leciutko zalatującą dymem herbatą. - Pojechałeś więc do Sydney, żeby odnaleźć Tessę?

- Tak. Nasz wspólny znajomy powiedział mi, że mieszka sama, ale umawia się ze swoim dawnym chłopakiem, jeszcze z czasów studiów.

- Ucieszyła się na twój widok?

Po twarzy Byrnea przemknął śmiech.

- Jasne. Przeprosiłem ją. Po dwóch tygodniach byliśmy już małżeństwem.

Jakie to romantycznie... W sercu Fiony leciutko zakłuło. Wiadomo, z zazdrości. Co było głupie, absolutnie nie na miejscu.

- Byrne, całkiem możliwe, że Tessa nie wiedziała, że to dziecko Jamiego.

Byrne oderwał oczy od ognia. Szare spojrzenie przechwytyło jej wzrok.

- Jestem prawie pewien, że nie zdawała sobie z tego sprawy.

W tym momencie nie mógł jej sprawić większej radości. Jamie wcale nie wtargnął między Tessę i Byrnea. Żona Byrnea wcale go nie zdradziła.

Świat wydał jej się nagle o wiele lepszym miejscem.

- Dziękuję, że mi to powiedziałeś, Byrne.

Dokończył swoją herbatę i podniósł puszkę.

- Napijesz się jeszcze?

- Nie, dziękuję. Wystarczy.

Nalał herbaty do swojego kubka, pośodził. Na gałęzi, tuż nad ich głowami, przysiadł sobie srokosz i rozpoczął swoje radosne trele.

Było jeszcze jedno pytanie, ostatnie, które Fiona musiała zadać.

- Czy to tylko przypadek, że Jamie kupił ziemię obok twojej?

Twarz Byrne'a stężała.

- Możliwe. Ale tej zagadki nie uda nam się rozwiązać.

Wylał resztki herbaty na dące się gałązki. Butem starannie zasypał ślady ogniska ziemią.

- Trzeba uważać. Nie chcemy tu mieć nowego pożaru buszu.

Powrót na Grey Lady wcale nie był łatwy. Fiona co prawda miała niezłą kondycję dzięki temu, że regularnie uczęszczała na lekcje tańca. Niestety, inne mięśnie wyrabia się w tańcu, inne podczas jazdy konnej.

Do Coolaroo wracali tuż przed zmierzchem. Spośród gałęzi potężnego eukaliptusa, który obsiadły wianuszkami różowo-popielatymi kakadu, wyglądał blady księżyc. Stadka kan-

gurów pały się w czerwonym blasku zachodzącego słońca. Świerszcze cykały, cykały i cykady.

Przepiękna pora dnia, Fiona jednak była zbyt zmęczona, żeby się teraz tym zachwycać. Dręczył ją problem zasadniczy. Da radę zsiąść z konia czy nie?

Przez cały dzień dzielnie dotrzymywała Byrne'owi kroku. Nie skarżyła się na nic, nie sprawiała kłopotu. Chyba nawet się na coś przydała, kiedy pomagała wygonić spośród skał przestraszone bydło i nakierować na jedno z pastwisk w Coolaroo.

Co prawda, w ciągu dnia momenty krytyczne zdarzały się często. Fiona, kiedy była pewna, że Byrne nie patrzy, stawała w strzemionach, żeby dać odpocząć swoim biednym pośladkom. Opierała się raz mocniej w jednym strzemieniu, raz w drugim, żeby choć na moment ulżyć obolałym udom. A teraz płaciła sowicie za cały dzień w siodle po dziesięcioletniej przerwie. Plecy, ramiona bolały, biodra piekły, o tym, jak czuły się pośladki, lepiej nie wspominać.

Podjechali pod dom.

- Fiono, możesz już tutaj zsiąść. Odprowadzę oba konie do stajni.

Zsiąść. Jak?! Przecież ona nie ma siły poruszyć prawą nogą. Zmusić się, żeby przerzucić ją ponad grzbietem konia, dzięki czemu możliwy będzie skok na ziemię.

Była załatwiona.

I upokorzona. Pod powiekami zakręciły się łzy. Szybko zamknęła oczy, zdecydowana absolutnie nie dopuścić, by spłynęły po policzkach.

- Pomogę ci, Fiono.

Natychmiast otworzyła oczy. Nie zauważyła, jak zsiadł i wodze obu koni przywiązał do barierki werandy.

- Och, trochę tylko zeszywniałam. W końcu cały dzień w siodle. Za chwilę mi przejdzie.

- Damy sobie radę. Wyjmij nogi ze strzemion... Bardzo dobrze. Teraz przechył się na bok, w moją stronę. Mocno. Złapię cię.

- Co?! Nie! Absolutnie!

- Fiono, nie dyskutuj.

Nie miała wyboru. Musiała go posłuchać.

Opadła w jego ramiona absolutnie bez gracji. Jak przysłowiowy worek kartofli. Byrne natomiast złapał ją bardzo zręcznie. Trzymał na rękach bez wysiłku, jakby ważyła nie więcej niż Riley.

Wcale nie miał zamiaru postawić jej na ziemi. Kiedy wnosił ją po schodkach, próbowała zaprotestować, ale ponieważ kompletnie ją zignorował, dała sobie spokój. W końcu cudownie jest być niesioną przez silnego mężczyznę.

Przez wiele, wiele lat ona sama musiała być silna.

Jedno z najbiedniejszych dzieci w szkole. Miała nietatwe dzieciństwo, potem, w świecie korporacji, też nie zawsze było słodko. Na każdym kroku spotykała dominujących facetów, z których co drugi najzwyczajniej w świecie chciał ją wykiwać - bo była kobietą.

Teraz Byrne niósł ją, tak ostrożnie, jakby była nadzwyczajnym cennym ładunkiem. Niósł, wołając jednocześnie po drodze do Ellen, żeby szykowała gorącą kąpiel. Ellen zjawiała się przy nich natychmiast, załamując ręce nad biedną Fioną. Użała się nad nią tak, jak nikt nigdy dotąd, nawet rodzona matka.

Powiedziała tylko jeszcze raz, tak dla porządku:

- Nic mi nie jest, Byrne.

Nie mając oczywiście nic przeciwko temu, żeby dalej trzymał ją na rękach, kiedy wanna napelniała się wodą. Cała łazienka zachodziła parą i delikatnym zapachem lawendy.

- Wszystko jest. Szampon, balsamy, mydła, sól do kąpieli - oznajmiła Ellen. - Teraz lecę, bo mam mięso w piecyku.

Byrne ostrożnie posadził Fionę na krześle z giętego drewna.

- Rozbieraj się i natychmiast do wanny. Siedz sobie w niej jak najdłużej. Musisz porządnie się wymoczyć. Przepraszam, Fiono. Powinienem być się zastanowić. Po tak długiej przerwie cały dzień w siodle to stanowczo za długo. Każdy by się wykończył.

Delikatnie musnął palcem jej policzek.

- Poradzisz sobie sama? A może potrzebujesz pomocy... przy rozbieraniu?

Oczy Byrnea, zwykle srogie, a przynajmniej poważne, śmiały się. Było to bardzo miłe, ale, oczywiście, musiała unieść się honorem.

- Dziękuję, dam sobie sama radę.

Był już w progu, kiedy uzmysłowiła sobie, że trochę się z tą deklaracją pospieszyła.

- Byrne!

Odwrócił się.

- Przepraszam cię, ale butów na pewno sama nie zdejmę. Byrne skinął głową. Wcale nie był zadowolony, że musi wrócić do łazienki. Wystarczająco się tam już namęczył, samą myślą, że jeszcze chwila, a Fiona będzie się rozbierać, naga podejdzie do wanny, zanurzy się w wodzie...

Dla jego ciała te myśli były jak nokaut. Teraz, niestety, będzie powtórka.

Fiona siedziała dalej na krześle. Jedną nogę oparła o brzeg wanny.

- Przepraszam, Byrne. Naprawdę nie dam rady.

- Nie ma sprawy.

Starannie unikając jej wzroku, przykląkł i wykonał zadanie. Zdjął buty i skarpety. A potem przyłapał się na tym, że gapi się na różową stopę. Ładną, wypielegnowaną, jak jej ręce. Fiona cała taka była. Ładna, delikatna i wypielegnowana.

Przełknął. Szybko wstał i znów przełknął.

- Dasz radę ściągnąć dzinsy?

Fiona zmusiła się do bladego uśmiechu.

- Postaram się je pokonać.

Przesunęła się ociupinkę na krześle. Spróbowała wstać i jęknęła.

Czyli wiadomo. Sama tych spodni nie ściągnie.

- Oprzyj się o mnie.

Powiedział to bardzo szorstko. Musiał. Bo w środku dosłownie go rozrywało. Pomógł jej wstać, podtrzymał, kiedy przyjmowała najdogodniejszą pozycję we względnym pionie. I szybko zabrał się do dzieła. Z kamienną twarzą rozpiął guzik, potem jednym szybkim ruchem zamek błyskawiczny. Spodnie rozsunęły się, ukazując kawałek jasnej skóry i biały jedwab bielizny. Naturalnie, zatkało go natychmiast. Postarał się jednak, żeby twarz pozostała kamienna, zero zainteresowania i szybko pociągnął dzinsy w dół, odstawiając bardzo zgrabne nogi.

Przez chwilę czuł na ramionach delikatny ucisk małych

dłoni, kiedy Fiona oparła się o niego, żeby wypłatać z dzinsów stopy. Jednocześnie mamrocząc słowa podziękowania. Specjalnie patrzył w bok. Na zielono-białe kafelki.

- Z resztą sobie poradzisz?

- Oczywiście.

Wychodząc, nie mógł sobie darować. Zerknął na Fionę stojącą koło wanny. Miała na sobie teraz tylko jasnoróżowy T-shirt, pognieciony na dole, tam, gdzie przedtem wepchnięty był do dzinsów. Kończył się dokładnie w miejscu, gdzie zaczynało się smukłe udo...

Jednym słowem, należało znikać stąd jak najprędzej!

Kiedy Fiona obudziła się, w pokoju panował mrok.. Była całkowicie zdezorientowana. Gdzie ona jest? Ciemny pokój, w mroku majaczy skandynawska sosnowa komódka o prostych, surowych liniach. Okna staroświeckie, z pięcioma szybami. Na nich białe zasłony, na ścianie w ramce piękny haft krzyżykami - polne kwiaty.

Nagle przypomniała sobie. Oczywiście, przecież jest w Coolaroo. Zasnęła w wannie. Obudziło ją stukanie do drzwi zaniepokojonej Ellen. Bez jej pomocy nie dałaby rady wyjść z wanny. Była zbyt zmęczona, żeby siadać do obiadu, dlatego, otulona w cudownie wielki płaszcz kąpielowy, prosto z łazienki chwiejnym krokiem podążyła do niewielkiej sypialni. Gdzie czekało upragnione szczęście w postaci świeżej pościeli, mięciutkiej poduszki spryskanej wodą lawendową i jedwabnej koszuli nocnej w cudownym kolorze jaśniutkiej moreli. Poza tym nowa szczotka i grzebień.

- Byrne wysłał mnie do Gundawarry, żebym szybko zro-

biła zakupy - wyznała Ellen. - Lista była długa, ale przecież tobie, kochanie, wszystko jest potrzebne.

Jak miło ze strony Byrne'a. I jakie zaskakujące.

Poruszyła się ostrożnie. Mały test, żeby sprawdzić, na ile jej ciało jest jeszcze obolałe. Poza tym leżenie w jednej pozycji było niewskazane. Człowiek robił się coraz bardziej sztywny.

W brzuchu zaburczało. Kategorycznie domagał się napełnienia. Konata z głodu, przecież ominą ją i lunch, i obiad. Dlatego zaczęła się zastanawiać, czy skona nie z głodu, lecz z bólu, jeśli spróbuje ostrożnie zsunąć się z łóżka i powlec do kuchni.

Nie dane jej było przekonać się o tym. Usłyszała kroki, po czym całe drzwi wypełniła czyjaś potężna postać.

- Byrne, to ty, prawda? - spytała przestraszonym szeptem.

- Tak, to ja. Chciałem sprawdzić, czy z tobą wszystko w porządku.

Wszedł do pokoju, zrobił kilka kroków i zatrzymał się. Bardzo blisko łóżka.

Tak blisko, że zaczęła mieć pewne trudności z oddychaniem.

- Która godzina, Byrne?

- Koło jedenastej. Wszyscy poszli już spać. Nie jesteś głodna?

- Jestem. Okropnie. Właśnie miałam zamiar spenetrować twoją kuchnię.

- Poczekaj tu, zaraz coś przyniosę.

- O, nie!

Zdecydowanym ruchem odrzuciła kołdrę na bok i zaczęła rozglądać się za szlafrokiem.

- Wystarczająco dużo zrobiesz dziś dla mnie.

- Zostań! - To był już rozkaz. - Ellen przygotowała jedzenie dla ciebie. Przewidziała, że w środku nocy zachce ci się jeść. Trzeba tylko na chwilę wstawić do mikrofalówki.

- Dobrze, poczekam... Byrne? - Uśmiechnęła się i pogłaskała wstążeczkę przy koszuli nocnej. - Dziękuję. O wszystkim pomyślałaś. A ta koszula jest śliczna.

Zauważyła, że jego oczy rozbłyły. Uśmiechnął się.

- Ja też uważam, że jest bardzo ładna.

Wyszedł. Wrócił dosłownie za chwilę, z tacą, którą postawił na komódce.

- Cudownie! - powiedziała Fiona, przekonana, że Byrne opuści teraz pokój. Ale on nie ruszał się z miejsca. Stał koło jej łóżka i wpatrywał się w nią intensywnie.

- Jak się czujesz? - spytał miękko, przysiadając na brzegu łóżka.

Jak? Po prostu nie mogę oddychać! Mam na ciebie ochotę. Taką ochotę, że chyba oszaleję...

- Zdecydowanie lepiej.

- Na pewno nigdy już nie będziesz chciała wsiąść na konia.

- Jutro na pewno nie!

Uśmiechnęli się do siebie. Fionie zdawało się, że śni. Czy to naprawdę ten małomówny, opryskliwy mężczyzna?

Dłoń Byrne'a, prawie czarna w mroku, odcinała się wyraźnie od białego prześcieradła. Zaledwie parę centymetrów od jej uda.

Koniuszki palców Fiony musnęły jego dłoń. Byrne drgnął. Nachylił się. Jego usta dotknęły jej ust.

Oboje całkowicie poddali się namiętności. Ręce Byrne'a przesuwają się po ciele Fiony, gorące wargi pieściły nagą skórę.

Nagle Fiona krzyknęła z bólu.

Byrne natychmiast się odsunął.

- Przepraszam. Zapomniałem, że...

- Ale to nic, naprawdę nic! - powiedziała szybko, znów obejmując go za szyję. - To tylko skurcz.

Byrne delikatnie zdjął z szyi jej rękę.

- Przepraszam.

- Naprawdę nie szkodzi - szepnęła.

Uśmiechnął się. Nachylił się i musnął wargami jej usta.

- Zjedz kolację, zanim wystygnie - powiedział.

Znowu się uśmiechnął i wyszedł.

Byrne stał przy oknie, zapatrzony na czarny busz. Fiona McLaren doprowadzała go do szaleństwa, a on absolutnie nie miał pojęcia, co z tym zrobić. Sygnały, jakie odbierał od Fiony, świadczyły, że z nią jest podobnie. Za każdym razem, kiedy dochodziło do zbliżenia, napotykał z jej strony gwałtowną namiętność.

Chemię o takim natężeniu trudno zlekceważyć.

Wszyscy, matka, znajomi bliżsi i dalsi, suszyli mu głowę, że znów powinien zacząć żyć. Obawiali się, że żyjąc samotnie, zmieni się w zgorzkniałego dziwaka.

Westchnął i powędrował z powrotem do pustego łóżka.

Żona, którą kochał, umarła trzy lata temu.

Trzy lata, to prawie tysiąc dni. Tysiąc nocy.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Następnego ranka Fiona, kiedy pojawiła się w kuchni, była zaskoczona bardzo małą liczbą osób. Czyli Riley poszła już do szkoły, Ellen i Ted zajęli się swoimi codziennymi obowiązkami. Za stołem siedział tylko Byrne i popijał kawę.

Jedno spojrzenie w ciepłe światło w jego oczach wystarczyło, żeby ze zdenerwowania poczuć na całym ciele bardzo leciusieńkie uktucia. Jakby ktoś rzucał w nią małutkimi strzałkami.

I trafił.

- Witaj, Fiono. Już południe. Dobrze spałaś?

- Świetnie - skłamała. Wiadomo, że po takich przeżyciach jak wczoraj, noc miała prawie bezsenność. - A ty?

Byrne uśmiechnął się i spojrzał w swoją kawę.

- Zdarza mi się sypiać lepiej - mruknął.

A ona poczuła dreszcz. Przecież to oznacza, że on, po wyjściu z jej pokoju, przeżywał podobne męki!

- Jak się czujesz? - spytał. - Jak twoje mięśnie?

- Cudownie. Jak nowe.

- Kłamczucha!

- No dobrze, przyznaję się. Trochę jeszcze bolą, ale dojdę do siebie.

Nagle z jej pokoju dobiegł przeraźliwy dźwięk komórki. Fiona nie zareagowała.

- Nie odbierzesz? - spytał Byrne.

- Och, na pewno nic ważnego - powiedziała i spokojnie zabrała się do nalewania kawy. - Poza tym bateria prawie już się wyczerpała, w związku z czym właściwie mnie nie słychać. A moja ładowarka się spaliła.

- Zadzwoń do firmy i podaj im mój domowy numer.

- Dzięki. Byłoby to najlepsze rozwiązanie. Ale nie ma pośpiechu, zadzwonię później. Najwyższy czas, żeby nauczyli się radzić sobie beze mnie.

Zajrzała do pudła z chlebem i wyjęła jeden z tych domowych, pieczonych na liściach. Oczywiście, dzieło Ellen.

- Mogę?

- Pewnie! - Byrne zerwał się na równe nogi. Wyraźnie było mu głupio, że zapomniał o obowiązkach pana domu.

- Ukroję ci.

- Dziękuję. Sama to zrobię.

Znalazła duży nóż do chleba, ukroiła sobie równiutką kromkę średniej grubości i włożyła do tosterka. Wzięła kubek do ręki, oparła się o blat kuchenny i popijając kawę, czekała, aż tost będzie gotowy.

- U ciebie w pracy chyba zawsze dużo się dzieje - powiedział po chwili Byrne.

- Zgadza się. Młyn.

Tost wyskoczył z tosterka. Fiona znalazła sobie talerzyk i nóż. Ułożyła tost na talerzyku, usiadła przy stole naprzeciwko Byrnea.

- Właściwie to ja nic nie wiem o twojej pracy.

-I nie żałuj. Nie sądzę, żeby dla ciebie było to interesujące.

- A dlaczego?

Zaskoczona, poderwała głowę.

- Interesuję się tobą, Fiono. Dlatego wszystko, co ciebie dotyczy, jest dla mnie ciekawe.

Interesuję się tobą?! Fiona poczuła, jak żyłka u nasady szyi zaczyna pulsować zdecydowanie szybciej. Z emocji, oczywiście. Byrne natomiast, zrelaksowany, rozparł się w swoim krześle. Potem znieruchomiał, dając znać, że gotów jest zamienić się w słuch.

Fiona, zadowolona - chyba nadmiernie, jak oceniła sama

- z jego zainteresowania, najpierw spokojnie posmarowała grzankę marmoladą.

- Macie dobrą pozycję na rynku marketingowym, czy tak?
- spytał Byrne.

Ugryzła kawałek, przeżuła, przetknęła.

- Tak.

- Jak do tego doszłaś?

- Naprawdę chcesz posłuchać?

-Tak.

I fakt. W jego oczach widać było prawdziwe zainteresowanie.

- A więc... Zaczynałam w czasopiśmie „Urban life”. Przy reklamach. Sprzedawałam je restauracjom, winiarniom, deweloperom, budującym na terenie miasta i tak dalej. Wtedy to naprawdę zainteresowałam się takimi rzeczami jak tworzenie wizerunku firmy, marka produktu. Dlatego poszłam na studia. Zrobiłam magisterium z komunikacji i marketingu.

Zjadła jeszcze kawałek tosta.

- Po zrobieniu dyplomu miałam nieprawdopodobne szczęście. Wynałaził mnie Rex Hartley, starszy pan, którego firma była w dość starym stylu. Operowali głównie czarno-białymi ogłoszeniami w gazecie. Rex, jak sądzę, widział we mnie furtkę do nowej epoki. Po kilku zaledwie latach zrobił mnie swoim młodszym wspólnikiem. Byłam w siódmym niebie.

- Musi cię bardzo cenić.

- Podobało mu się, że jestem młoda, witalna. Podobno mam świeże pomysły, ale nie brakuje mi też wyczucia, co się uda, a co raczej będzie ryzykowne.

- Lubisz z nim pracować?

- Oczywiście! W naszej branży Rex cieszy się wielkim poważaniem. Ma wyrobione nazwisko, po latach ciężkiej, uczciwej pracy.

- To już starszy człowiek?

- Tak. I to jeszcze jeden powód, dlaczego lubię z nim pracować. W marketingu pracuje mnóstwo typków, którzy działają mi na nerwy. Rozumiesz, koszulka rozpięta, włoski na żel, prosto od fryzjera. Seksiarze. Po prostu wkurzający.

Miała już na końcu języka, że woli takich facetów jak on. Bezpretensjonalnych i bardzo męskich, w taki trochę starswiecki sposób.

- Jak się nazywa wasza firma?

- Hartley&McLaren, znana też po prostu jako H&M. Mam kilka stałych zleceń, naprawdę poważnych, na przykład rządowe. Pracujemy też dla poczty, sił obronnych, górnictwa. Praca daje mi wiele satysfakcji, ale nie jest to droga usłana tylko różami. Prawie nie ruszam się z Sydney, chyba że na ja-

kieś seminarium albo konferencje. To jest mój pierwszy urlop od pięciu lat.

- Urlop? Jesteś na urlopie?

- Tak. Chciałam wreszcie trochę odpocząć, jednocześnie spokojnie się zastanowić, co zrobić z White Cliffs. Rex wiedział, że mnie to martwi. Sam kazał mi wziąć długi urlop i uporządkować swoje sprawy. Poza tym dostałam polecenie służbowe, że mam nie stronić od rozrywek.

- Dlatego poszłaś na ten bal.

Bal w Gundawarze... Przez dłuższą chwilę patrzyli sobie w oczy. Było jasne, że oboje przypominają sobie to wydarzenie. Magię masek, pocałunek, potem gorzkie konsekwencje. Wspominają wszystko, co się wtedy wydarzyło. I później, aż do dziś. Łącznie z wczorajszym pocałunkiem, całkowicie powalającym.

Byrne pierwszy opuścił głowę, Spojrzał na swoje ręce, splecione i ułożone na stole.

- Niewiele miałaś okazji do wypoczynku i rozrywek.

- Och, dla mnie to żadna tragedia. Jestem pracoholiczką. Gdybym pojechała wypoczywać na jakiejś tropikalnej wyspie, na pewno już następnego dnia zajęłabym się przygotowaniem biznesplanu dla orzechów kokosowych.

Byrne uśmiechnął się, jakoś dziwnie niewesoło.
Wstał.

- Nigdy nie jest za późno na zmianę przyzwyczajzeń. Dziś powinnaś się zrelaksować. Nogi w górze. Poczytaj sobie. I gorąca kąpiel, kilka razy.

Miła przyjacielska pogawędka dobiegła końca. Niestety. Fiona starała się udawać przed samą sobą, że wcale nie jest

rozczarowana. Choć, oczywiście, była. Także trochę zaniepokojona. Czuła bowiem, że Byrne w jakiś sposób też jest rozczarowany. Tym, co mu opowiedziała. Dziwne, sam przecież o to poprosił, a kiedy spełniła jego prośbę, mina wyraźnie mu zrzedła.

- A ty jakie masz plany na dzisiaj? - spytała.

- Zorganizowałem ludzi z Tilby do naprawy twoich ogrodzeń. Zaraz tu będą. Lepiej wyjdę już przed dom.

Tego wieczoru, kiedy Byrne przekraczał próg swego domu, usłyszał zachwycony chichot córki. Zajrzał do salonu, a tam zobaczył dwie damy, w pozach niedbałych na dywanie. Riley i Fiona. Grały w domino. Cały dywan dookoła zastany był planszami. Warcaby, Węże i Drabiny, Chińczyk i jeszcze wiele innych gier.

Fiona, kiedy usłyszała kroki, podniosła głowę. Zielone oczy roziskrzone były od śmiechu. Na jego widok roziskrzyły się jeszcze bardziej. Na pewno, co w sumie było bardzo miłe.

- Widzę, że kiedy jedni ciężko pracują, inni w tym czasie nieźle się zabawiają! - rzucił żartobliwie.

- O, tak, tatusiu! - Scamp zerwała się z podłogi, żeby objąć ojca. - Grałyśmy już w tyle gier! A poza tym Fiona nauczyła mnie, jak się naciągać.

- Naciągać?!

- Mięśnie - wyjaśniła Fiona. - Nauczyłam się tego na lekcjach tańca.

Spojrzenie Byrnea przemknęło po szczupłym, gibkim ciele. Ubrany w T-shirt i luźne, dresowe spodnie.

- Aha. A jak sytuacja z twoim obolałym ciałem?

- Niestety, daleko jeszcze do ideału.

Byrne pokiwał głową. Zdawał sobie sprawę, że właściwie powinien już sobie stąd pójść. Im mniej będzie przebywał w towarzystwie Fiony, tym lepiej. Co z tego, że dziewczyna mu się podoba, skoro postanowił już raz na zawsze. Jest typową babką z miasta, pod żadnym względem nie pasującą do Byrnea Drummonda. Dlatego teraz powinien zrobić w tył zwrot i pójść sobie. Najlepiej, pod zimny prysznic.

Niestety, jak ostatni idiota, przykucnął obok Fiony.

- W takim razie przydałby ci się masaż.

Fiona przymknęła oczy i wydała z siebie kilka uroczych dźwięków przypominających mruczenie kotki.

- Mmm... o, tak... Płacę każdą cenę za dobry masaż!

- Moja firma świadczy usługi gratis - powiedział Byrne, kładąc rękę - dziwne, że mu nie zadrżała - na jej ramieniu.

Kiedy zorientowała się, że to on ma być masażystą, jej oczy rozblęskły. Z emocji? Jeśli tak, pokryła to natychmiast żartem.

Przewróciła się na brzuch, mrużąc.

- Bardzo jestem wam wdzięczna, litościwy człowieku.

- Tatusiu, a co ty będziesz robić?

Na śmierć zapomniał o obecności Riley. A ona przecież tu była i wlepiła w niego okrągłe brązowe oczy, pełne teraz ciekawości.

Odchrząknął.

Co będę robić? Będę masował obolałe plecy i nogi Fiony McLaren, próbując nie zwracać uwagi na to, że te plecy i nogi są śliczne, miękkie i takie kobiece.

- Zrobię masaż Fionie.

- To ja ci pomogę!

- Świetnie.

Dzięki, skarbie. Łatwiej mi wtedy będzie trzymać się przyzwoitego scenariusza.

- Pamiętaj, robi się to bardzo delikatnie.

Masował, czując, że go znowu bierze. Znowu zaczyna przeżywać męki, starając się utrzymać swoje męskie ciało w ryzach. Masował i w duchu przeklinał własną głupotę. Miał przecież unikać tej kobiety, a nie masować ją, udając, że z niego taki samarytanin.

W porządku, na tej jednej wpadce się skończy. Teraz po obiedzie też będzie zniknął z domu. Jakaś wymówka zawsze się znajdzie. Na przykład - trzeba naprawić traktor. A w domu będzie przebywać jak najmniej, bo to zrobiła się prawdziwa strefa zagrożenia.

Przez cały następny dzień Byrne'owi udawało się zachować tak pożądany dystans. Żył swoim własnym życiem. Fiony nawet nie zapytał, jak zaplanowała sobie dzień.

Kiedy wieczorem, tuż przed zachodem słońca, wracał do Coolaroo, czekało go kilka niespodzianek.

Po pierwsze znikł pikap Teda, co zaniepokoiło go nie na żarty. Stało się coś i Ted musiał natychmiast jechać do miasta?

Drugą niespodzianką, równie niepokojącą, był zapach, który owionął go, gdy wchodził na werandę. Zapach bardzo włoski. Czosnek, pomidory, zioła. Czyli absolutnie nie w stylu Ellen. Potem usłyszał śmiech osób niewątpliwie płci żeńskiej. I głos Riley wyraźnie czymś bardzo przejętej.

W kuchni kolejna niespodzianka.

Jesienne włosy Fiony zebrane były w luźny węzeł. Sama Fiona owinięta w jeden z fartuchów Ellen, bardzo obszerny i w kwiatki. Stała przy kuchence, mieszając drewnianą łyżką w wielkim garnku. Riley, z włosami upiętymi w schludny koczek i ubrana w ukochaną spódniczkę baletnicy, siedziała na wysokim stołku.

Kiedy Byrne wszedł, obie twarze, zaróżowione od pary buchającej z wielkiego garnka, zwróciły się ku niemu.

- A co się tutaj dzieje? - spytał.

W pierwszej chwili pomyślał, że nie daj Boże coś złego stało się z Ellen. Ale uspokoił się. Przecież Fiona i Riley nie byłyby wtedy w tak szampańskich humorach.

- Cześć, tatusiu! - Scamp, rozpromieniona, pomachała do niego rączką. - Razem z Fioną gotujemy obiad.

- A gdzie Ellen?

- Ma wolne - oświadczyła Fiona. - Dziś w kinie w Gundawarze wyświetlają komedię romantyczną, którą Ellen bardzo chciała obejrzeć. Wygadała się z tym, a nic przecież nie stało na przeszkodzie. Teraz razem z Tedem są w Gundawarze. Obiad zjedzą przed kinem, w kawiarni Rosita.

Byrne, zaskoczony tym nieoczekiwanym biegiem wypadków, podrapał się po karku.

- Robimy spaghetti, tatusiu - oznajmiła radośnie Riley. - A deser zrobiłam ja. Sama. Ale na razie nie powiem ci, co. To tajemnica.

Jego córeczka po prostu pękała z dumy.

- Proszę, proszę... Czyli zapowiada się niezwykle interesujący wieczór!

- A jak tam naprawa ogrodzeń? - spytała Fiona.

- Konsekwentnie posuwamy się do przodu.

Nagle zdał sobie sprawę, że po całym dniu pracy na dwo-
rze jest spocony i brudny.

- Przepraszam na chwilę. Pójdę się odświeżyć przed dzi-
siejszą ucztą.

- Tatusiu, poczekaj!

Riley zsunęła się z wysokiego stołka.

- Popatrz!

Zakręciła się przed nim w kółko, całkiem zgrabnie naśla-
dując piruet.

- Świetnie! - pochwalił ojciec.

- Prawda, że wyglądam jak prawdziwa baletnica? - Riley
poklepała się po główce. - Fiona upięła mi włosy. Uczyła
mnie, jak tańczy baletnicą. Patrz!

Na buzi dziecka widać było maksymalną koncentrację.
Staneła bardzo prosto, pięty razem, paluszki na bok. Pulchne
rączki uniesione nad głową. Chwila skupienia. Podskok. Jed-
na nóżka do przodu, stopa wyciągnięta. Znów podskok, do
przodu wysunięta druga nóżka.

- To jest prawdziwy balet, tatusiu!

Byrne czuł, jak ze wzruszenia ściska go w gardle.

- Oczywiście, Scamp. I wyglądasz pięknie, jak prawdziwa
baletnica. - Spojrzała na Fionę stojącą przy kuchence. - Ri-
ley marzy, żeby zostać baletnicą. Trudno jednak wozić ją do
miasta na lekcje tańca.

- Wiem, jak to jest... - Na twarzy Fiony pojawił się me-
lancholijny uśmiech. - Ja w jej wieku marzyłam o tym sa-
mym. Niestety, na marzeniach się skończyło. Dopiero odkąd
zaczęłam zarabiać, stać mnie na lekcje tańca.

Przypomniał sobie, że Fiona na balu wspominała o tych lekcjach. Powiedziała, że tańczy dla utrzymania dobrej kondycji. Wspomniała tańczyła! Nigdy w życiu nie miał takiej partnerki, lekkiej, zwiewnej, gibkiej... Tańcząc z nią, czuł się jak Fred Astaire.

Byrnea pod prysznicem zalewały nie tylko strugi wody. Także mnóstwo emocji. Przede wszystkim miłość ojcowska. Rozczulenie, kiedy zobaczył małą dziewczynkę tak dumną i przejętą. Towarzyszyło temu jednak ukłucie zazdrości. Riley z Fioną łączą więzy krwi, podczas gdy on tak naprawdę tylko uzurpował sobie prawo do roli ojca, którą odgrywał przez czysty przypadek.

Ukłucie było jednak leciutkie, zapomniał o nim błyskawicznie. Ciotka nie ciotka, Fiona pociągała go przede wszystkim jako kobieta. Co z kolei było kretynstwem. Nie miał przecież żadnych szans. To typowa babka z miasta, absolutnie poza zasięgiem.

Co prawda tam, w tej kuchni, sprawiała wrażenie całkowicie osiągalnej. Jakby tu już mieszkała, jakby tu był jej dom... Jakby...

Szybko zakręcił kurek z gorącą wodą. Trochę lodowatej było teraz jak najbardziej wskazane.

Kiedy sięgał po ręcznik, po raz kolejny przyznał w duchu, że to, co czuje do Fiony, to nie tylko pożądanie. Coś o wiele więcej. Szacunek, na pewno. Bardzo lubi jej towarzystwo, ceni jej otwartość, niezwykle życzliwy stosunek do ludzi. Poza tym – co go samego zaskakiwało - wzbudzała w nim po prostu czułość.

Gdyby się pobrali... Riley znów miałaby matkę. Kobiętę, która doskonale rozumie potrzeby małej dziewczynki. Mężczyzna, choćby nie wiadomo jak się starał, i tak nie był w stanie temu sprostać.

On, Byrne, miałby u swego boku towarzyszkę życia. Fionę...

Fiona w jego łóżku, w nocy i o poranku. Fiona na Grey Lady, konie idą łeb w łeb, a oni rozmawiają o przyszłości White Cliffs i Coolaroo. Fiona zajmująca się małą Riley. Może warto by pomyśleć o rodzeństwie? Jeszcze jeden maluch, może nawet dwójka? Ta perspektywa bardzo mu odpowiadała. Tak bardzo, że omal nie wydał z siebie gromkiego okrzyku radości.

Omali, bo bardzo szybko powrócił na ziemię. Do brutalnej rzeczywistości.

Fiona jest przecież poza zasięgiem. To nie tylko dziewczyna z miasta, także ktoś, ktoś ma wysoką pozycję zawodową. Kompetentna, błyskotliwa, ambitna młodsza współpracowniczka w tym całym cholernym H&M. Tylko facet totalnie świrnięty mógłby sobie ubzdurać, że Fiona zrezygnuje ze wszystkiego, co osiągnęła po wielu latach ciężkiej pracy i na resztę życia zakopie się na wsi.

W trakcie wkładania czystych dżinsów i białej koszuli jeszcze jedna konkluzja. W porządku. O tym, że Fiona za niego wyjdzie, nie ma co marzyć. Był jednak dziwnie pewien, że panna McLaren nie miałaby nic przeciwko krótkiej przygodzie...

W końcu nie ona pierwsza i nie ostatnia zafundowałaby sobie podczas urlopu romansik. Potem też mogliby spotkać się od czasu do czasu.

Już to widział. Jak opowiada o nim swoim szpanującym znajomym. Och, to taka cudowna odskocznia. Przygoda w buszu.

No, nie wiadomo, czy rola odskoczni by mu odpowiadała. Ale w końcu tylko na to mógł liczyć...

Fiona nakryła stół ciemnoczerwonym obrusem. Wyciągnęła najlepsze srebra Drummondów oraz białą kruchą chińską porcelanę. Do srebrnych świeczników wetknęła białe świece, do wazonu z rżniętego szkła wstawiła róże, czerwone i białe.

- Bardzo przepraszam - powiedział Byrne. - Chyba wszedłem nie do tego domu.

Riley zachichotała, Fiona zarumieniła się i uśmiechnęła przepraszająco.

- Chciałam, żeby było elegancko. Jak na przyjęciu. Zdjęła fartuch Ellen, odsłaniając to, co miała pod spodem.

Czarną sukienkę ze zdumiewająco małej ilości materiału. Siłą rzeczy była bardzo obcisła. Cudownie podkreślała biust, wąską talię i zgrabne pośladki. Fiona wyglądała rozkosznie.

- Bardzo dobry pomysł. Jak przyjęcie to przyjęcie - pochwalił, pozwalając sobie jednocześnie dokładniej zlustrować wzrokiem czarną sukienkę. - Tylko mi nie mów, że to maleństwo kupiłeś tu, w Gundawarze.

- A właśnie że tak. W sklepie Margeurite. Ona ma cudowne rzeczy.

Fiona uśmiechnęła się po raz drugi z wyraźną skruchą.

- Byrne, mam nadzieję, że nie liczysz na jakąś wyszukaną

potrawę. To tylko spaghetti bolognese. Riley, moja asystentka, wybrała menu.

- Pachnie genialnie.

Nie tylko pachniało. Wkrótce przekonał się, że smakowało fantastycznie.

- Tylko mi nie mów, że to sos z butelki.

- A skąd! - zaprzeczyła gwałtownie, zręcznie nawijając na widelec długie spaghetti. - Mam przyjaciół, rodowitych Włochów. Dali mi stary rodzinny przepis.

- Na czym polega tajemnica?

- Maksimum pomidorów i minimum mięsa.

-I czosnek, tatusiu - uzupełniła poważnym głosem Scamp.

- Fiona zgniotła czosnek brzegiem widelca, a potem wciskała w niego mnóstwo soli. Sama widziałam.

-I dorzuciłam mnóstwo przypraw.

Riley skinęła głową.

- Tak, tatusiu. Rzuciła garściami i garściami.

- Garściami i garściami?

Fiona roześmiała się. Zielone oczy skrzyły się w blasku świateł.

- Jedna, góra dwie garstki!

Byrne pomyślał o wspólnych kolacyjkach u Laytonów. Kiedy jest tak sympatycznie. Zwała się cała tłum. Je się byle co, a atmosfera świetna. Fiona doskonale by pasowała do tego towarzystwa. Wszyscy by ją polubili. Takie spotkanie można zorganizować też tutaj, w Coolaroo.

Spokojnie. Znów odpułnął. Taki scenariusz nigdy się nie zdarzy.

- Coś się stało? - spytała Fiona, spoglądając na niego z niepokojem.

- Ależ skąd!

Uśmiechnął się, zdawał sobie jednak sprawę, że jej nie przekonał. Dlatego poczuł się głupio, jak ktoś, kto niepotrzebnie psuje miły nastrój.

Na szczęście, teraz pałeczkę przejęła mała Riley.

- Chyba już pora na deser, prawda?

Jego talerz i Riley były puste, Fiona kończyła jeść.

Mrugnęła wesoło do dziewczynki.

- Tak, kochanie. Pora na twoją niespodziankę!

Obie wstały od stołu, przeszły do najdalszego kąta w kuchni i zaczęły szeptać konspiracyjnie.

- Byrne! - zawołała po chwili Fiona. - Co chcesz do swojej galaretki? Kawałki brzoskwini? A może lody? Lody z galaretką są pyszne!

- O, nie! - zaprotestowała Riley. - Ja nie robiłam lodów. Chcę dać tatusiowi tylko galaretkę. Bo to ja ją zrobiłam!

Chwilę później dziewczynka, starając się powstrzymać dumny uśmiech, podeszła do stołu i ostrożnie postawiła przed ojcem miseczkę z jasnozieloną galaretką.

- No nie! - wykrzyknął zdumiony ojciec. - Nie wierzę! Naprawdę zrobiłaś to sama?!

- Tak! - wykrzyknęła równie głośno Riley, podskakując z przejęcia. - Sama, sama! Skosztuj, tatusiu!

Byrne nigdy nie był amatorem galaretki. Oczywiście teraz, kiedy brązowe oczy córeczki śledziły każdy jego ruch, nie miało to żadnego znaczenia. Ostrożnie nabrał na łyżeczkę trochę rozdygotanej zieleni, włożył do ust. Przetknął i westchnął.

- Pyszne! Scamp, lepszej galaretki w życiu nie jadłem.

- Naprawdę?! Tatusiu, to ja jeszcze ci zrobię! Będę ci robiła galaretkę codziennie!

Przyjęcie dobiegło końca. Byrne poszedł położyć Riley spać. Fiona, w dość kiepskim nastroju, krzątała się po kuchni. Ta kolacja, świece, czarna sukienka... Wiadomo, po co. Chciała olśnić Byrne'a. Równie dobrze mogła powiesić sobie na szyi tabliczkę z napisem: Weź mnie. Jestem twoja.

Trudno. Musiała to zrobić. Domyślała się, dlaczego Byrne jej unika. Po prostu przestraszył się, kiedy opowiedziała mu o swojej pracy. Teraz widzi w niej tylko i wyłącznie kobietę sukcesu, jednak ona marzyła o zupełnie innym życiu. Pal diabli karierę w Hartley&McLaren. Było, minęło. Teraz pragnęła zostać tutaj, w Coolaroo. U boku Byrne'a Drummonda.

Stąd ta czarna sukienka, pięknie nakryty stół, zapalone świece. Nigdy przedtem tego nie robiła. Nie wykladała wszystkich kart na stół. Zwykle w relacjach z mężczyznami była bardzo ostrożna, tym bardziej że na swojej drodze napotykała co rusz typka, który chciał przede wszystkim seksu. Żeby miał się czym potem pochwalić. Nie miała ochoty być czymś trofeum, dlatego sztukę spławiania facetów doprowadziła do perfekcji. Oczywiście, robiła to subtelnie, nie raniąc przy tym ich rozdętego ego. Kto wie, czy ten gość nie przyda jej się podczas kolejnych negocjacji...

Pewnie, spotykała też facetów do rzeczy. Podczas studiów na uniwersytecie miała stałego chłopaka. Był słodki, ale kiedy oboje ukończyli studia, ich drogi się rozeszły. On dążył do stabilizacji, dla Fiony zaś nie było to podstawowym priorytetem.

Przed kilkoma laty podczas konferencji w Singapurze Fiona poznała uroczego faceta, rozwodnika. Duńczyka, który z kolei wcale nie zamierzał się ustabilizować. Miał wspaniałe poczucie humoru. Poszli na całość, a Duńczyk specjalnie dla niej przedłużył swój pobyt w Singapurze. Kiedy wyjechał, serce Fiony jakoś wcale nie płakało z żalu.

Byli też inni, oczywiście. Żaden z nich nie dorastał Byrne'owi nawet do pięt. Żaden nie był takim stuprocentowym mężczyzną jak Byrne, żaden nie zawojował jej serca, nie rozpałał zmysłów do takiego stopnia, że była w stanie myśleć tylko o nim. O tym, jak bardzo go chce. Żaden z nich nie wzbudził w niej chęci do całkowitego przemeblowania swojego życia.

- Chyba jeszcze nigdy nie widziałem Riley tak przejętej. Zatopiona w myślach, nie słyszała, jak wszedł. Kiedy się odezwał, drgnęła nerwowo. Filizanka, którą właśnie wkładała do zmywarki, wysunęła jej się z ręki.

- Przepraszam, Fiono. Nie chciałem cię przestraszyć.

- Tak to jest, kiedy myślami buja się gdzie indziej. Byrne, mam nadzieję, że to nic cennego? - spytała ze skrucą, podnosząc z podłogi osobno filizankę i osobno uszko.

- Nie mam pojęcia. Naprawdę, nie ma się czym przejmować.

Uśmiechnął się. Oparł biodrem o kredens i patrzył, jak Fiona wkłada stłuczoną filizankę do zlewu, płucze ręce i wyciera je w ściereczkę.

- Nigdy jeszcze nie jadłem tak dobrego spaghetti bolognese.

Czy twoi włascy znajomi dali ci jeszcze jakieś inne przepisy?

- Oczywiście! - Fiona spojrzała na niego niemal z dumą.

- Robię genialne lasagne i pesto. Poza tym mam jeszcze przyjaciół Greków, Wietnamczyków i z Tajlandii.

- Wszyscy zdradzają ci jakieś ciekawe przepisy?

- Zgadza się. Tak właśnie jest.

Rozmowa była lekka, niezobowiązująca, Fiona wyczuwała jednak w Byrne napięcie.

Wiadomo, że tak naprawdę żadne z nich nie miało ochoty rozmawiać o jedzeniu.

- Zrobić ci kawy, Byrne?

- Nie, dziękuję.

- Riley śpi?

- Prawie.

Zielone spojrzenie stopiło się z szarym.

- Fiono? Domyślasz się, że mam ochotę cię pocałować?

- To już będzie trzeci pocałunek, Byrne!

Uśmiechnął się.

- Liczysz? Faktycznie, trzy. Chociaż tego pierwszego nie traktowałbym poważnie. Podczas zabawy. Pirat i motylek. Nie miałem pojęcia, kto ukrywa się pod maską. Drugi pocałunek, moim zdaniem, był czymś w rodzaju eksperymentu. A trzeci...

Przyciągnął ją do siebie, tak blisko, że czuła delikatny zapach wody kolońskiej.

- A trzeci jest po prostu... obowiązkowy.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Ich trzeci pocałunek, ten obowiązkowy, był cudowny, bardziej niż cudowny, poza tym brzemienny w skutki. Wiadomo było, że na nim się nie skończy. To tylko preludium do czegoś, co jest logiczną konsekwencją.

I tym razem nie ma odwrotu.

- Ciekawe, czy Scamp zasnęła - szepnęła Byrne.

- Sprawdźmy.

Wzięli się za ręce i cichutko na palcach ruszyli zaślanyrm dywanem holem.

Byrne zostawił zapaloną lampkę na stoliku nocnym Lampkę z różowym abazurem. W łagodnym złocisto-różowym kręgu światła leżała zwinięta w kłębek mała dziewczynka w różowej pizamce z falbankami. Trzymając w objęciach ukochane zabawki. Żółtego misia i coś w rodzaju dinozaura w zielono-brązowe paseczki.

- Byrne... - szepnęła cichusieńko Fiona. - Czy to przypadkiem nie Athengar i...

- Dunkum. Tak. Bez nich nie zaśnie.

W pokoju było jeszcze mnóstwo zabawek. Śliczne laleczki-niemowlęta, różowy pluszowy królik, jednorożec w kolorze lawendy. Fionie trudno było uwierzyć, że zabawka, którą

dziecko dostało trzy lata temu, tuż po tragicznym wydarzeniu, darzona jest tak wierną miłością.

Nagle powieki Riley drgnęły. Brązowe oczy spojrzwały bardzo przytomnie.

Zaspany głosik stwierdził:

- To byłeś ty.

-Ja?

- To ty byłeś tą śliczną panią, która mi dała Athengara.

- Tak, kochanie - szepnęła Fiona z trudem przez zaciśnięte ze wzruszenia gardło. - Pamiętasz to?

Riley skinęła główką.

- Tak. I cieszę się, że to byłeś ty.

W oczach Fiony zakręciły się łzy. Czują, jak ramię Byrne'a na moment mocniej zaciska się wokół jej pleców. Spojrzała na niego. Szare oczy lśniły podejrzeniem.

Nachylił się nad dzieckiem i pocałował w czoło.

- Śpij już, Scamp.

- Dobrze, tatusiu. Dobranoc. I dobranoc, Fiono.

Dziewczynka posłusznie zamknęła oczy.

- Wyłączę już światło, dobrze, Scamp?

- Dobrze, tatusiu.

Trzymając się za ręce, wyszli z pokoju dziecka i w milczeniu przeszli przez mroczny dom. Do pokoju Byrne'a. Z dużymi, francuskimi oknami, przestronnymi białymi zasłonami. Jedno okno od frontu, drugie wychodziło na werandę. Przez frontowe widać było księżyc, wysoko na niebie, odbywający swą wędrówkę wśród pierzastych chmur.

Byrne zatrzymał się na środku wielkiego pokoju i objął Fionę, bardzo mocno, kryjąc twarz w jej włosach.

- Przepraszam...

- Przepraszasz mnie? Za co, Byrne?

- Przedtem nie chciałem, żebyś kiedykolwiek spotkała się z Riley. Byłem po prostu zazdrosny.

- Nie powinieneś robić sobie wyrzutów, Byrne. Tyle przeżyłeś. .. I Riley. Wzruszyłam się, że nadal ma tego potworka. Zapamiętała, że to ja jej go dałam. Byrne... - Podniosła na niego oczy pełne łez. - Ja też pamiętam. Kiedy po raz pierwszy cię zobaczyłam. Przyjechałeś do szpitala. Miałeś na sobie płaszcz nieprzemakalny. Stałeś na środku izby przyjęć, taki duży, taki zagubiony. I przytulałeś do siebie tego żółtego misia. Nigdy tego nie zapomnę. Nigdy!

Byrne uśmiechnął się smutno i pocałował ją w czubek nosa.

-A ja doskonale pamiętam, jak szykownie wyglądałaś w tym w swoim kostiumiku. Wtedy myślałem, że cię nienawidzę. Idiota...

Pocałowali się. Był to pocałunek pełen czułości, leciutko słony od łez i drżący od nadmiaru emocji. A potem... Po-tem wszystko działo się bez pośpiechu. Rozkoszowali się luksusem stopniowego narastania rozkoszy. Kiedy pocałunki z czułych stają się coraz bardziej namiętne, a każda kolejna pieszczota coraz śmielsza, bardziej podniecająca.

W końcu nadeszła chwila, gdy oboje dotarli do granicy wytrzymałości. Byrne rozsunął suwak w sukni Fiony i ściągnął jej przez głowę cienki materiał. Potem przy akompaniamencie śmiechu i skradzionych pocałunków pomagali sobie nawzajem pozbyć się reszty ubrania.

- A jeśli chodzi o te twoje bóle w mięśniach, Fiono...

- Jakie bóle? Kto tu mówi o jakichś bólach?!

Nie udzielił odpowiedzi od razu. Najpierw porwał ją na rękę i zaniósł do łóżka.

- ... potrzebny ci jeszcze jeden masaż.

Duże, ciepłe dłonie przesunęły się po nagich udach Rony. Gdziekolwiek dotknął, czuła leciutki dreszcz i cudowne, rozlewające się ciepło.

- O, tak - mruknęła lekko zadyszany głosem, poddając się całkowicie magicznym manipulacjom jego rąk. - Potrzebny mi drugi masaż. Bo boli mnie wszędzie. Okropnie, Byrne...

Kiedy minęła północ, Fiona ostrożnie zdjęła z siebie rękę Byrne'a i zaczęła przesuwać się na brzeg łóżka. Starła się zrobić to jak najciszej, niestety, w chwili gdy stawiała stopy na podłodze, jedna z jej rąk została nagle unieruchomiona. Ręką Byrne'a.

- Chyba nie uciekasz?

- Wracam do swojego pokoju, Byrne.

- Dlaczego? - powiedział rozżalonym głosem i pociągnął ją delikatnie za rękę. - Zostań. Ja chcę, żebyś tutaj była.

- A ja nie chcę, żeby Riley zastała mnie właśnie tutaj.

- Nie martw się. Zawsze budzę się wcześniej niż Scamp. Zostań...

Jego palce narysowały uwodzicielską ścieżkę wzdłuż jej kręgosłupa. Potem kilka kóteczek na nagim udzie. Kóteczka zadecydowały - dalszy opór był ponad jej siły. Z rozkoszą zanurkowała z powrotem w jego objęcia. Była taka szczęśliwa! Nigdy dotąd nie odczuwała tak intensywnie, że żyje, po

prostu. I jest tam, gdzie powinna być. W tym domu, w tym pokoju, w ramionach tego mężczyzny.

Była tam jeszcze, kiedy nadszedł świt. Była, kiedy nagle rozdzwonił się telefon na stoliku nocnym.

Byrne odebrał po drugim sygnale.

- Coolaroo, słucham - rzucił do słuchawki, opierając się wygodniej o poduszkę. Druga ręka bawiła się leniwie włosami Fiony, nawijając na dwa palce rudy kosmyk.

Nagle jego palce znieruchomiały.

- Oczywiście. Zaraz ją poproszę.

Coś się stało. Czują to. Coś bardzo niedobrego, skoro ten ktoś zdecydował się zadzwonić o tak wczesnej porze.

Usiadła i z przestraszeniem spojrzała w twarz Byrne'a, bardzo teraz poważną.

Byrne zakrył ręką słuchawkę i powiedział prawie bezgłośnie:

- Do ciebie.

- Kto?! - szepnęła.

Ale Byrne podawał jej już słuchawkę.

- Tak, słucham? Tu Fiona.

- Fiono, to ty? - Samantha, jej asystentka. - Niestety, mam fatalne wiadomości. Dziś w nocy Rex miał udar.

- Udar? Matko święta! Biedny Rex!

- Zabrali go do Royal North Shore Hospital. Jego żona, kiedy dzwoniła do mnie, była okropnie zdenerwowana. Rex nie odzyskał jeszcze przytomności.

- Sam! To straszne!

- Przepraszam, że zadzwoniłam tak wcześnie, ale byłam pewna, że będziesz chciała zjawić się tu jak najszybciej.

- Ja... Och, tak, oczywiście.

- Sądzę, że nasz learjet będzie mógł po ciebie przylecieć.
Learjet może przylecieć tu w ciągu kilku godzin.

Tak szybko.

Fiona przycisnęła rękę do ust. Czowała, że robi jej się słabo.
Z rozpacz.

Za kilka godzin będzie musiała rozstać się z Byrne'em.

- Fiono? Jesteś tam?

- Tak, Sam. Jestem. Oczywiście, learjet to najlepsze rozwiązanie. Tu, w Coolaroo, nie ma miejsca do lądowania, ale w Gundawarze jest małe lotnisko. Korzystałam już z niego.

- Zajmę się tym. Jak będę wiedziała coś konkretnego, zaraz do ciebie zadzwonię.

- Dzięki, Sam.

Fiona, z trudem powstrzymując łzy, podała słuchawkę Byrne'owi.

- To Rex - powiedziała. - Miał udar. Muszę wracać do Sydney.

- Oczywiście. Jesteś współnikiem. Musisz przejąć ster. Powiedział to głosem idealnie beznamiętnym. Żadnej oznaki, że szkoda mu rozstawać się z Fioną.

Wstał z łóżka i zaczął się ubierać.

Fiona czuła, jak wszystko w niej zamiera.

- Ja... ja chciałam powiedzieć, że będę za tobą tęskniła, Byrne...

Twarz Byrnea była kompletnie pozbawiona wyrazu.

- Mam nadzieję, że twój współnik wyjdzie z tego. A o mnie lepiej w ogóle nie myśl.

- Jak możesz tak mówić, Byrne? Oczywiście, że będę o tobie myśleć!

Głos Fiony drżał. Serce bolało. Czuła się tak straszliwie bezbronna, bezradna. Naga w tym łóżku. A Byrne, ubrany, stał nad

nią. Z kamienną twarzą. Ale patrzył prawie ze złością.

- Byrne, chyba nie myślisz, że mogłabym tak stąd wyjechać i od razu o tobie zapomnieć? A może ty tego chcesz?

W szarych oczach coś błysnęło. Ból? Nie, to tylko złudzenie. Te oczy są zimne jak stal.

- Przecież wiadomo było od samego początku, że musisz wrócić do miasta - powiedział oschłym tonem. - To tylko kwestia czasu. Na pewno oboje wolelibyśmy, żeby zdarzyło się to trochę później. Ale na dłuższą metę tak jest może lepiej. Oczywiście, pomijam te smutne okoliczności, które są powodem twojego wyjazdu.

- Mówisz - lepiej?!

Byrne tylko potrząsnął głową. Jakby odpowiedź była oczywista.

Fiona też potrząsnęła głową i naciągnęła na siebie kołdrę.

- Nastawię wodę - powiedział Byrne.

- Do diabła z wodą! - krzyknęła. - Chcę, żebyśmy porozmawiali o nas!

- Ciszej. Bo obudzisz Scamp.

Tej nocy była tak szczęśliwa. Pewna, że Byrne coś do niej czuje. Marzyła o tym, że się pobiorą. Przecież dla Byrnea gotowa była rzucić wszystko.

Teraz dziwiła się, skąd czerpała niezachwianą pewność, że wszystko ułoży się po jej myśli.

Co do własnych uczuć nie miała żadnych wątpliwości. Kochała go i chciała mu o tym powiedzieć. Teraz. Ale ten jego okropny chłód zabijał słowa miłości.

- Dobrze. Zrób tę herbatę, skoro tak się przy tym upierasz.
- Wiedziała, że zabrzmiało to okropnie, ale nic na to nie mogła poradzić. - Ja idę pod prysznic.

Przez kilka następnych godzin było okropnie. Byrne był bardzo troskliwy, jednocześnie jednak tak oficjalny, że Fiona chciało się płakać. Jego chłód w jakimś stopniu wynagrodziła jej reakcja Riley. Dziecko, bliskie płaczu, chwyciło ją kurczowo rączkami i za nic nie chciało puścić.

- Ja nie chcę, nie chcę, żebyś wyjeżdżała!

W rezultacie Byrne zmuszony był interweniować. Wszyscy czuli się paskudnie. Riley, kiedy wsiadała do pikapu Teda, tonęła w łzach.

Potem drugie, rozzierające serce pożegnanie. Z Ellen. Która głośno siąkając nosem i ocierając oczy chusteczką, wcale nie kryła rozżalenia.

- Kochanie, jaka wielka szkoda, że nas opuszczasz!
Byrne demonstracyjnie postukał w zegarek.

- Już czas!

Z nieruchomą twarzą otworzył drzwi samochodu. Odczekał, aż Fiona wsiądzie. Usiadł za kierownicą. Ruszyli.

Dalej ani jednego słowa. Siedział wyprostowany, z ponurą miną. Obie ręce na kierownicy. Oczy utkwione w drodze przed sobą.

Nie, to niemożliwe, żeby tak nagle odciął się od niej. Całkowicie! Po takiej nocy...

- Dlaczego taki jesteś? - spytała. Głośno, żeby zagłuszyć szum silnika i wiele innych odgłosów towarzyszących jeździe po nierównej wyboistej drodze.

Byrne lekko zmrużył oczy, ale nie odwrócił głowy.

- O co chodzi? - mruknął.

- Och, Byrne, nie udawaj. Doskonale wiesz, o co chodzi.

Traktujesz mnie teraz jak obcą osobę, którą kazali ci odwiedzić na lotnisko. Jakby ta noc w ogóle się nie wydarzyła....

- W ogóle nie powinna się była wydarzyć - przerwał jej oschłym tonem. - Zabrakło mi rozsądku, tobie też, Fiono. Ale jak wrócisz do Hartley&McLaren, na pewno czeka tam na ciebie tyle spraw, że nie będziesz miała czasu pomyśleć o czymś innym.

- Tego chcesz?

- Oczywiście. Tak będzie najlepiej.

- Nawet gdybym za jakieś pół roku mogła wycofać się z interesu?

- Jak możesz w ogóle o tym mówić, kiedy twój wspólnik jest tak poważnie chory?

Fiona zbladła. Chciał, żeby poczuła się zwykłą świnią? Przecież tu nie chodzi o to, że Rex i firma nic dla niej nie znaczą. Przeciwnie. Jednak kochała Byrne'a. Kochała tak bardzo, że dla niego chciała całkowicie zmienić swoje życie.

A on tylko chciał się z nią przespać.

Och, gdyby mogła cofnąć czas... do tamtej nocy, tego ba-lu maskowego. Przed spotkaniem z piratem. Gdyby jakimś cudem można było to wszystko rozegrać inaczej!

Byrne prawdopodobnie czuje ulgę, że będzie miał ją z głowy. Wystarczająco namieszała w jego życiu. W końcu to ona uświadomiła mu, że nie jest rodzonym ojcem Riley. Niepotrzebnie wtrąciła się w jego życie codzienne i odciągała go od jego zwykłych zajęć, prosząc, by pomagał jej w White Cliffs.

Biorąc to pod uwagę, jedna fantastyczna noc absolutnie nie jest żadnym zadośćuczynieniem.

Byrne nie odezwał się już ani słowem. Ona też. Siedziała spięta, ze wzrokiem wbitym w krajobraz. Ten skrawek Australii stał jej się już tak bliski. Poznała każdą wyrwę w drodze, każdy rozklekotany drewniany mostek przez każdą rzeczkę, każdą skałę.

Pomyślała o swoim mieszkaniu w Sydney. Dwadzieścia pięter w górę. Kremowe wykładziny, ściany białe i brązowe, kuchnia lśniąca nierdzewną stalą. Łazienka - biały marmur. Widok na inne wieżowce, w dali migające światła portu. Wyobraziła sobie siebie, jak siedzi sama i je pączkami makaron z kartonika. Popija kawą latte, którą kupiła w kawiarence na parterze. Potem do późnej nocy pracuje przy laptopie.

Szczerze mówiąc, bardzo rzadko gotowała według wyszukanych przepisów, którymi chciała zaimponować Byrne'owi. Wszystkie skrzętnie wpisywała do komputera, ale jej kuchenka była nieskazitelnie czysta, bez jednej plamki. Jak w dniu, w którym Fiona się wprowadziła. Nigdy nie miała czasu na gotowanie.

Pomyślała o biednym Reksie. Kochany staruszek. Musi z tego wyjść. Całe życie tak ciężko pracował, zasłużył sobie na długie, szczęśliwe lata na emeryturze. Próbowwała też pomyśleć o tym, co ją teraz czeka w pracy. Posiedzenia, spotkania, terminy. Ale to wszystko wydało jej się jakieś obce, dalekie. Nie, nie chciała jeszcze o tym myśleć. Jeszcze nie teraz.

Minęli jakiś stary drewniany domek. Przed domkiem sznurek z powieszonym praniem. Uświadomiła sobie wtedy, że dojeżdżają już do Gudawarry. Lotnisko jest na obrzeżach

miasta, czyli niebawem dojadą na miejsce. Byrne przekaze ją w ręce Hansa, pilota. Powiedzą sobie „do widzenia”.

Na tym koniec. A ona tyle chciała mu powiedzieć...

Odwróciła głowę i spojrzała na jego skupioną, poważną twarz.

- Trudno mi uwierzyć, że nigdy już tu nie przyjadę.

- Myślałem, że wpadniesz od czasu do czasu. Chyba chcesz utrzymać kontakt z Riley.

- Oczywiście. Dziękuję, że o tym pomyślałeś.

Wyszło to lodowato. Tak bardzo, że Byrne na moment oderwał wzrok od drogi i spojrzał przelotnie na Fionę.

- Dla Riley będzie to znaczyć bardzo wiele.

- Dla mnie też. - Zamrugnęła szybko oczami, starając się powstrzymać łzy. - Kiedy... kiedy są jej urodziny?

Wyraźnie zaczął się zastanawiać. Wtedy rzuciła zjadliwie.

- Och, zapomniałam, że mężczyźni nigdy nie znają daty urodzin swoich dzieci!

- Piętnastego kwietnia.

- Dzięki. Będę o tym pamiętać.

Niebawem - stanowczo za szybko - zobaczyła budynek z płaskim dachem, w którym znajdowało się biuro lotniska. Obok hangary, pas startowy i rękawy lotniskowe. Na samym końcu pasa samolot firmy H&M. Gotowy do startu.

Byrne minął znak, oznaczający granicę miasta Gundawarra i wjechał w jedną z wolnych zatoczek. Zgasił silnik, zaciągnął hamulec.

- Poczekaj... - Fiona, wiedziona impulsem, przykryła jego dłoń swoją. - Byrne, ja nie potrafię tak wyjechać, nie mówiąc ci szczerze, co czuję.

Twarz Byrnea stężała.

- Fiono, wydaje mi się, że...

- Proszę! Tylko kilka słów. Uważasz, że powinniśmy się rozstać. Akceptuję twoją decyzję, nie mam jednak zamiaru udawać, że dla mnie wszystko jest w porządku. Nie chcę podchodzić do tego jak ty. Z rozsądkiem. Bo ze mną jest zupełnie inaczej, Byrne. Zakochałam się. - Głos Fiony był niezwykle spokojny. Ani trochę nie drżał. Tylko oczy były pełne łez. - Przepraszam. Domyślałam się, że wcale nie miałeś ochoty tego usłyszeć. Ale musiałam ci to powiedzieć. Kocham cię. Kocham ciebie i kocham Riley. Zawsze będę was kochać.

Zaraz potem, ponieważ jej wybuch dla nich obojga był kłopotliwy, otworzyła drzwi samochodu i wysiadła. Stała w promieniach palącego słońca. Kiedy ocierała łzy, słyszała, jak Byrne wysiada z samochodu. Żwir zachrzęścił. Byrne podszedł do bagażnika, żeby wyjąć jej śmiesznie małą torbę. Z rzeczami, których większość kupił on sam.

Wyjął torbę, zamknął bagażnik, żwir znowu zachrzęścił.

Szedł do Fiony. Wstrzymała oddech. Boże, co ona zrobiła! Jak ostatnia egoistka dała ujście swoim emocjom. Ten człowiek tyle przez nią wycierpiał, a ona beztrząsco na pożegnanie obarcza go deklaracją dozgonnej miłości.

- Panno McLaren!

Po płycie lotniska szedł Hans, pilot learjeta.

- Witaj, Hans! Powiedz przede wszystkim, jak z Reksem?

- Jakieś pół godziny temu dostałem wiadomość, że odzyskał przytomność. Robią mu teraz badania.

- Miejmy nadzieję, że wszystko będzie dobrze.

Hans skinął uprzejmie głową Byrne'owi, Fiona szybko dokonała prezentacji. Mężczyźni uściskali sobie dłonie.

- Przepraszam, ale musimy się pospieszyć - powiedział Hans do Fiony. - Mam polecenie przywieźć panią do Sydney jak najszybciej. W samolocie jest Samantha Hale.

- Sam? W samolocie?

- Tak. Chce podczas lotu przekazać pani informacje, żeby przygotowała się pani do ważnych spotkań, jakie czekają panią dziś po południu.

- Rozumiem. W takim razie lecimy.

Fiona odwróciła się do Byrne'a i wyciągnęła rękę.

- Dziękuję za pomoc, Byrne.

Uścisnął jej dłoń, potem nachylił się i pocałował ją w policzek.

- Tak będzie najlepiej - szepnął. I cofnął się. Odstąpił jak żołnierz, który się odmeldował.

Hans wziął jej torbę.

- A gdzie reszta pani bagażu? - spytał zdezorientowany.

- O, to długa historia, Hans. Chodźmy już, opowiem ci wszystko po drodze.

Sześć tygodni później, pięć dni przed Bożym Narodzeniem do Coolaroo przysłała przesyłka z Sydney. Spore pudełko, zapakowane w brązowy papier, zaadresowane ładnym, okrągłym pismem. Dla panny Riley Drummond. Oprócz tego duża koperta. Urzędowa. Do Byrne'a.

Ku wielkiemu rozczarowaniu Riley paczka powędrowała pod choinkę. Miała tam czekać do dwudziestego piątego grudnia. Kopertę Byrne zabrał ze sobą do gabinetu. Domy-

ślał się, jaka będzie jej zawartość. Ale i tak suche, urzędowe pismo od prawnika przekazującego mu, że on, Byrne Drummond, i jego córka Riley, są teraz właścicielami White Cliffs, było dla niego prawdziwym ciosem.

Potrząsnął kopertą, z nadzieją, że Fiona napisała od siebie kilka słów.

Nic.

Przez sześć tygodni ani słowa. Z jednej strony trudno się było temu dziwić. Sam o to prosił. Nie spodziewał się jednak, że wcale nie będzie chciał, żeby Fiona spełniła jego prośbę.

Strata żony przed trzema laty była prawdziwą tragedią. Ale śmierć była czymś nieodwołalnym. Nic nie było w stanie wrócić Tessy.

Teraz było inaczej. Wiedział, że Fiona żyje. Śmieje się, śpi, budzi. Ma do dyspozycji pocztę elektroniczną, telefon, samolot, może skontaktować się w dowolny sposób.

I nic. Tylko ten suchy dokument sporządzony przez jej prawników.

Został współwłaścicielem White Cliffs. Ten fakt należałoby uczcić...

Odłożył dokumenty na bok. Wstał, kopnął krzesło i podszedł do okna. Wyrzucił na świat. Świadomy, że wystarczająco długo zachowuje się jak skończony dureń.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

To nie miało sensu.

W siedzibie firmy Hartley&McLaren światła były poga-szone, za lśniącymi biurkami z tekowego drewna nikt nie siedział. Kiedy Byrne pchnął wielkie przeszklone drzwi, oka-zało się, że są zamknięte.

Sprawdził jeszcze raz nazwę firmy, napisaną złotymi lite-rami na szkle. Hartley&McLaren, konsultanci marketingowi i medialni. Tak, to na pewno biuro, w którym pracuje Fio-na. Ale dlaczego zamknięte? Przecież to wcale nie był dzień wolny od pracy.

Komórka Fiony nie odpowiadała. Napisał więc pod adres podany w dokumencie sprzedaży White Cliffs. Żadnej od-powiedzi.

Do cholery, co tu się właściwie dzieje?!

Szybko przeszedł się do recepcji sąsiedniej firmy. Niestety najpierw musiał odczekać, aż panienska z włosami ufarbowa-nymi na jasne i czerwone pasemka skończy rozmawiać przez telefon. Przy czym rozmowa miała charakter zdecydowanie bardziej prywatny niż służbowy.

- Czym mogę panu służyć? - spytała uprzejmie, serwując mu promienny uśmiech i przelotne spojrzenie od stóp do głów.

- Ja do Hartley&McLaren - powiedzia! - Czy oni się gdzieś przenieśli?
- To pan o niczym nie wie? Nie s!yszał pan?
- Nie. Co?
- Zostali przejęci. Wykupił ich Southern Developments.
- A co się stało z ludźmi, którzy tu pracowali? Dokąd odeszli?

Dziewczyna wzruszyła ramionami i sięgnęła po pilniczek do paznokci.

- Wszyscy się nad tym zastanawiają. To stało się tak nagle. Przykro mi.

Noc spędził, przemierzając pokój hotelowy wzdłuż i wszerz. Przeklinając siebie, że okazał się takim idiotą.

Przed oczyma miał wciąż Fionę, tuż przed pożegnaniem na lotnisku w Gundawarze.

Dumną, odważną Fionę.

Kocham cię... Zawsze będę cię kochać.

Była w tym taka uczciwa.

A on czym odpowiedział? Strachem.

Pozwolił jej odejść, bo za bardzo się bał uporządkować swoje rozwichrzone emocje. Idiotą, do którego nie docierała najbardziej oczywista, nieskomplikowana prawda.

Fiona kocha jego. On kocha Fionę.

Fiona to czuła. Jest kobietą bardzo wrażliwą i inteligentną. Dlatego zaryzykowała i wyznała mu swoje uczucie.

On ze swojego uczucia zdał sobie sprawę poniewczasie.

Kocha Fionę McLaren. Ale przedtem odesłał ją z kwitkiem. Tak po prostu.

Jak ostatni osioł, do kwadratu, przecież po raz drugi popętnia ten sam błąd.

Poprzednim razem gorzko zapłacił. Za to, że pozwolił Tessie odejść, a potem o wiele za późno wyruszył na jej poszukiwanie.

Tym razem cierpiał jeszcze bardziej. Tym razem było przecież oczywiste, że Fiona wcale nie chce zostać odnaleziona. Chyba że...

Sięgnął po książkę telefoniczną. Swoją ostatnią szansę.

- *Buonasera, signorina.*

- *Buonasera, Luigi.*

Fiona, w odpowiedzi na unizony ukłon kelnera, lekko skłoniła głowę i pozwoliła się poprowadzić przez hotelową restaurację. Do stolika koło dużego okna, z którego roztaczał się piękny widok na jezioro Como.

- Podoba się pani ta najpiękniejsza część słonecznej Italii? - spytał Luigi swoją szkolną angielszczyzną, odsuwając krzesło.

- Podoba mi się bardzo, dziękuję. Pogoda jest cudowna, dlatego całe dnie spędzam na zwiedzaniu.

- A przy okazji zakupy?

Doświadczone oko kelnera przemknęło po eleganckiej garsonce z kremowego jedwabiu. Fiona wypatrzyła ją w jednym z małych butików, których było pełno w tych uroczych wąziutkich brukowanych uliczkach i zaułkach.

- A tak. Ładna, prawda?

Luigi uśmiechnął się i cmoknął głośno w kólecisko, utworzone z kciuka i palca wskazującego.

- *Magnifico!*

Po czym błyszczące, czarne, bardzo włoskie oczy spojrzęły z wyrzutem.

- Ale tutaj, w Bellagio, najbardziej romantycznym mieście Italii nie powinna pani być sama, signorina!

Fiona lekceważąco machnęła ręką i sięgnęła po menu.

- Bardziej niż romans interesuje mnie skosztowanie jeszcze jednej z tych waszych boskich potraw!

Co, oczywiście, było kłamstwem w żywe oczy.

Dlatego, kiedy Luigi nalał jej wody do szklanki i odszedł, pozwoliła sobie westchnąć. Takie szczere westchnienie, płynące naprawdę z głębi serca. Była we Włoszech, kraju, do którego zawsze chciała pojechać. Powinna być w siódmym niebie. Niestety, było inaczej, w rezultacie więc zaczynała podejrzewać, że ona chyba już nigdy w życiu z niczego nie będzie zadowolona. O byciu szczęśliwą nie wspominając.

Do eleganckiego, oprawionego w skórę menu w ogóle nie zajrzała. Patrzyła w okno, starając się ze wszystkich sił wzbudzić w sobie choć odrobinę entuzjazmu. Przecież tu jest tak pięknie. Nawet w nocy widoki są urzekające. Ogrody, jasno oświetlone, z ogromnymi plamami rabat różnobarwnych azalii. Czarne jezioro, wokół niego rozsypane światła wiosek i miasteczek. Jak diamenty w naszyjniku, zebrane w diamentowe grona.

Przez cały jej pobyt pogoda była cudowna, powietrze czyste i rześkie. Jeden dzień piękniejszy od drugiego. Śniadania jadła na ukwieconym tarasie z widokiem na ośnieżone szczyty Alp. Mogła popatrzeć sobie też na małe żaglówki na lazurowym jeziorze, na gęste lasy, pnące się w górę po zbo-

czach, na malowniczo rozsiane wioski z dachami w kolorze ochry, palonej sienny i żółte.

Patrzyła i co chwila zbierało jej się na płacz. Z tej samotności.

Przyjechała tutaj, żeby zapomnieć o Byrnie. Specjalnie wybrała ten właśnie kraj, to miasto, ten elegancki hotel, prowadzony przez jedną rodzinę od prawie stu lat. Z nadzieją, że pobyt w starym świecie, tak bardzo nie australijskim, pomoże zagoić ranę.

Bez skutku.

Tego wieczoru w ogóle nie miała apetytu na żadną z boskich potraw. Była pewna, że niczego nie przełknie. Głupio tak jednak iść do łóżka z pustym żołądkiem.

Powoli otworzyła menu...

I nagle zamrugła oczami. Czy ona śni? Zamiast imponującego wykazu włoskich potraw - *lantipasto, II' primo, II' secondo, II' contorno, II' dolce* - strona była pusta. To znaczy - prawie pusta. Na środku wypisano jedną tylko nazwę.

Spaghetti Bolognese.

Bardzo ostrożnie przewróciła kartkę.

Znów na samym środku tylko dwa słowa.

Zielona galaretka.

Zadrzała. Tak mocno, że szklanka z wodą wysunęła jej się z rąk.

Nie, to niemożliwe. To nie on, to nie Byrnie.

A więc kto? Z nikim innym nie jadła takiego zestawu - spaghetti bolognese, a potem zielona galaretka. Tylko z nim...

Postawiła szklankę i szybko osuszyła serwetką kałużę na

stole. Jednocześnie gorączkowo rozglądając się na boki. Czy przypadkiem przy którymś ze stolików nie zobaczy wysokiego, długonogiego, opalonego Australijczyka.

Nie zobaczyła. Wtedy zerwała się na równe nogi i jeszcze raz, bardzo dokładnie zlustrowała wzrokiem salę. Nie przejmując się, że wzbudza małą sensację.

Ani śladu Byrne'a.

Spojrzała znów do menu, potem na Luigiego, który był w drugim końcu sali. Odwrócony do niej plecami podawał gościom zupę.

Usiadła. Otworzyła menu, na pierwszej stronie, szukając jakiejś wskazówki. Być może, był to tylko dziwny zbieg okoliczności. Może jakaś nowość, może wymyślili taki zestaw w związku z jakimś świętem religijnym czy czymś w tym rodzaju.

Przewróciła drugą kartkę i odkryła kartkę trzecią, której przedtem jakoś nie zauważyła.

Na środku informacja:

Zestaw ten podaje się tylko w pokoju 267.

Oszalała, tak. Albo ma jakieś przywidzenia. Z bijącym sercem jeszcze raz przewertowała menu, strona po stronie. Czytając wszystko po dwa razy.

Spaghetti Bolognese. Zielona galaretka. Pokój 267.

Nie ma siły, za tym musi stać Byrne...

Przyciskając rękę do rozszalonego serca, spróbowała ponownie przechwycić wzrok Luigiego. W końcu to on dał jej to przedziwne menu, musi więc wiedzieć, co się za tym kryje.

Niestety Luigi, zwykle pojawiający się na każde skinienie,

dziś był wyjątkowo zajęty. Za każdym razem, kiedy Fiona machała do niego, on akurat musiał coś zrobić, widocznie coś bardzo pilnego.

W końcu nie wytrzymała. Chwyciła ze stołu swoją nową, elegancką wieczorową torebkę. Galopem pokonała restaurację, wyłożony marmurami i lustrami hol i dopadła do windy.

Przyjechała prawie natychmiast. Drzwi rozsunęły się z dyskretnym szelestem. Do windy weszła chwiejnym krokiem, z powodu drżących ze zdenerwowania kolan. Jakies starsze małżeństwo spojrzało na nią złym okiem. Na pewno myśleli, że jest wstawiona. Trudno.

- Prze... przepraszam - wymamrotała i nacisnęła guzik na drugie piętro.

Staroświecka winda pięła się w górę powoli, co dla Fiony było prawdziwą udręką. Jedyne, co pozytywne, to że wyglądała nieźle. Dobrze, że tego wieczoru naprawdę zadbała o swój wygląd. Tylko oczy miała trochę szkliste, z powodu szoku. Rumieniec na policzkach niepotrzebny.

W końcu winda dojechała na drugie piętro. Drzwi rozsunęły się i Fionie udało się zmusić dolne kończyny, żeby posuwały się do przodu. Wyszła do zastanego dywanami holu. Uspokoila oddech.

Jeszcze chwila i stała już przed drzwiami do pokoju 267.

Ratunku! Pomocy! Może ktoś mi powie, kto jest po drugiej stronie tych drzwi?!

Proszę... proszę, niech to będzie...

Szybki, ale głęboki wdech, dla kurazu. Wyprostowała się i zastukała. Jej serce biło tak głośno, że tego stukania prawie nie było słychać.

Zamknęła oczy, modląc się w duchu gorąco, żeby drzwi otworzył on. Byrne Drummond. Jeśli zrobi to ktoś inny, Fiona z rozczarowania padnie martwa na podłogę.

Drzwi się otworzyły. W progu ukazała się wysoka postać ciemnowłosego mężczyzny.

Niestety. Jakiś młody Włoch. Kompletnie obcy.

-Och!

W oczach Włocha pojawiło się zdumienie.

- Przepraszam - wymamrotała. - Chyba się pomyliłam.

Młody człowiek z uśmiechem skłonił się przed nią i otworzył szeroko drzwi.

-*Buonasera, signorina. Entri prego.*

Kiedy zrobiła jeden ostrożny krok i weszła do środka, wycofał się do holu. Wtedy uświadomiła sobie, że to po prostu ktoś z personelu hotelowego.

A w pokoju stał jeszcze jeden mężczyzna.

Wysoki, opalony na brąz, absolutnie wspaniały w czarnym wizytowym garniturze, śnieżnobiałej koszuli i muszce.

- Witaj, Fiono.

Fiona bała się poruszyć. Ze strachu, że może przerwać ten cudowny sen.

Dopiero po dłuższej chwili wydusiła z siebie drżącym głosem:

- Pomyślałam... że to musisz być ty. Ale dlaczego?

Byrne w odpowiedzi otworzył ramiona. Znalazła się w nich natychmiast, wydając z siebie cichy okrzyk. Okrzyk radości, okraszony łzami.

- Kochana dziewczynka - zamruczał Byrne. - Bardzo kochana. ...

Zamknął drzwi ramieniem, nie wypuszczając jej z objęć. I przytulił jeszcze mocniej. Głaskał po głowie, całował mokre od łez oczy.

Fiona przywarła do niego kurczowo, pełna jeszcze wątpliwości, czy to dzieje się naprawdę. Czy to naprawdę Byrne, czy do niego należą te silne ramiona, w których ona tonie. Ramiona twarde jak skała i duże, nieskończenie delikatne dłonie. I ten świeży zapach. I te gorące wargi.

Tak. To jest Byrne.

- Nie wierzę, po prostu nie wierzę... - szeptała, uśmiechając się przez łzy. - A gdzie jest Riley?

- W pokoju 103. Razem z opiekunką. Ogląda film.

- Rozumiem. Ale powiedz, jak ty się tu znalazłeś? Przyjechałeś na urlop czy w interesach?

- Ja... No cóż. Przygotowałem sobie co prawda piękną przemowę, ale co tam. Powiem od razu. Przyjechałem, żeby cię odnaleźć i coś ci powiedzieć. Powiedzieć, że kocham Ciebie.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, nachylił się i pocałował ją. Przekazując tym pocałunkiem wszystko, co ewentualnie chciałby jeszcze dodać.

Pocałunek trwał zachwycająco długo.

Kiedy nadszedł kres przyjemności, Fiona zerknęła ponad ramieniem Byrnea i zobaczyła stolik. Podobny do stolika, przy którym siedziała przed kwadransem. Ustawiony koło okna z koronkową firanką. Przykryty białym, wykrochmalonym obrusem, na bieli obrusa lśniące srebro i mały wazon z purpurowymi alpejskimi irysami. Obok stolika, na stojaku, chłodził się szampan w kubeczku wypełnionym lodem.

Usta Fiony rozciągnęły się w uśmiechu tak szerokim, że zagrażało to rozpadnięciem się twarzy na dwie części.

- Jak romantycznie!

I roześmiała się głośno, radośnie. Z wyżyn swego szczęścia. Po czym zadała jeszcze jedno pytanie, bezwarunkowo wymagające odpowiedzi.

- Byrne, jak ty mnie tu znalazłeś?!

- Nie było łatwo.

- Opowiadaj! Umieram z ciekawości!

- Najpierw dzwoniłem do ciebie. Ale nie odbierałaś, więc pojechałem do Sydney i odszukałem siedzibę waszej firmy. Nie zastałem tam żywej duszy. Dziewczyna z sąsiedniej firmy powiedziała, że zostaliście przejęci...

- No, to było trochę inaczej.

- Wiem. Zasięgnąłem języka. W każdym razie prosto stamtąd pojechałem do ciebie. Dzień i noc czatowałem koło twojego mieszkania.

- Niemożliwe!

Niestety, nie udało jej się całkowicie ukryć zachwyty w jej głosie.

- W końcu, zdesperowany, zadzwoniłem do Reksa Hartleya.

- Tak? Co ci powiedział?

- Chcesz wiedzieć dokładnie?

- Jasne.

- Synu... - zaczął Byrne, doskonale naśladowując głos starszego pana. - Właśnie miałem do ciebie dzwonić.

Fiona odsunęła się trochę, żeby lepiej widzieć jego twarz.

- Byrne? Rex po prostu cię ochrzanił?

- Oczywiście. Najpierw przekazał konkretne informa-

cje. Sprzedaliście H&M, dzięki czemu on może cieszyć się zasłużoną emeryturą, a ty podróżować po świecie. Potem rozpoczął wykład. Bardzo głośny. Zaczął się od tego, że jestem ośłem do kwadratu, bo pozwoliłem ci wtedy wyjechać z Coolaroo. A skończył na wniosku, że absolutnie na ciebie nie zasługuję. Po czym dał mi namiary na ciebie, zapowiadając, że jeśli jeszcze raz cię zawiodę, to odpowiem za to. Przed nim, oczywiście.

Byrne wsunął palce pod brodę Fiony i lekko uniół jej twarz. Zajrzał w zielone oczy, uśmiechnął się, a ona natychmiast poczuła, że topnieje, jak przystłowiowy wosk.

- Czyli... przyjechałeś tu dla mnie... - szepnęła.

- Gdyby trzeba było, przeszedłbym na bosaka całą Saharę. Kocham cię, Fiono. Proszę, uwierz mi. Powinienem być powiedzieć ci to jeszcze w Coolaroo, ale nie chciałem niszczyć ci kariery. Później to sobie przemyślałem. W końcu mogę sprzedać Coolaroo i...

- Co?! Och, tylko nie to! - Fiona była przerażona. - Błagam, powiedz, że jeszcze tego nie zrobisz!

- Jeszcze nie, ale zrobię, jeśli tylko dzięki temu będziemy mogli być razem.

- Och... - Fiona, z oczyma pełnymi łez, czule pogłaskała go po policzku. - Gdybyśmy wtedy szczerze porozmawiali... Dowiedziałbyś się, jak wielką miałam nadzieję na zasadniczy zwrot w mojej karierze.

- Tak mówisz? - Byrne zmarszczył czoło i spojrzał czujnie. - Masz jakieś nowe plany?

- Mam... - Uśmiechnęła się i mocno objęła go za szyję. - Pocałuj mnie, Byrne. Potem przekonasz się, co planuję.

Byrne skwapliwie wykonał, co mu polecono.

- Co teraz rozkażesz? - spytał, obsypując drobnymi pocałunkami jej szyję.

Fiona jednak była zdania, że dość już słów. Później, przy obiedzie będą mieli mnóstwo czasu, żeby pogadać. Wtedy opowie mu, jakie ma wspaniałe pomysły odnośnie ekoturystyki w White Cliffs.

Teraz zaś zamierzała przystąpić do realizacji planu może nie tak dalekosiężnego, ale związanego bezpośrednio z osobą człowieka, którego kochała.

Złapała go za klapy marynarki i całując, zaczęła popychać w głąb pokoju. Całowała, przekazując mu wszystko. Swoją radość. Swoją miłość. Także to, że ona zaraz, natychmiast musi znaleźć się z nim w jednym łóżku.

Byrne zrozumiał to i zaakceptował.

Bez żadnego problemu.